

Projekt POKL04.01.01-00-029/09 „Dostosowanie modelu kształcenia studentów filologii polskiej do wyzwań współczesnego rynku pracy (ze szczególnym uwzględnieniem rozwoju kompetencji informatycznych oraz informacyjno-medialnych)”

Witold Taszycki

Obrońcy języka polskiego

(Biblioteka Narodowa, seria I, nr 146, Wrocław 1953, s. III–LXXXIX)

I. PIERWSI MIŁOŚNICY JĘZYKA POLSKIEGO

Przez długie wieki dziejów naszych przedhistorycznych i wczesnohistorycznych nikt się o język polski nie troszczył. Rósł, zmieniał się, rozwijał samorzutnie bez czyjejkolwiek w jego sprawy ingerencji. Był organem polskiego życia społecznego we wszystkich jego przejawach, posługiwano się nim na wiecach przy różnych sposobnościach i na różnym stopniu zwoływanych, używano go przy spełnianiu obrzędów religijnych, przy pracy, na wojnie, wśród zabaw, opowiadano w nim zamierzchłe wydarzenia, omawiano wypadki powszednie, śpiewano pieśni. Było to rzeczą tak naturalną i tak prostą, że nikt tego nie roztrząsał, nikt nie dociekał, dlaczego tak jest, nikt się losami ojczystej mowy nie zajmował, nikt się pod żadnym względem na nią wpływać nie starał.

Nie bardzo zwracali uwagę na język miejscowy pierwsi krzewiciele chrześcijaństwa w państwie Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Wyłącznie cudzoziemcy – zadowalali się biernym udziałem nowo pozyskanych wyznawców w nabożeństwach, które w obcej, łacińskiej mowie odprawiali. Zapatrzeni w łacinę, powszechny język obrzędowy Kościoła katolickiego i główny organ chrześcijańskiej kultury, nie okazali większego zainteresowania dla języka ludu, wśród którego mieli utrvalać zasady głoszonej przez się wiary. Nieznajomość języka polskiego, niemożność bezpośredniego porozumiewania się w nim z ludnością ówczesnego państwa polskiego sprawiła, że nie zdołali z nią nawiązać bliższego kontaktu. W tych warunkach niezmiernie powoli zapuszczała w Polsce korzenie wiara chrześcijańska i nic też dziwnego, że bez trudu udało się na dużych połaciach kraju prawie zupełnie zniszczyć osiągnięcia jej apostołów w okresie rewolucji społecznej, jaka po śmierci Mieszka II (1034) ogarnęła polskie ziemie, doprowadzając do chwilowego upadku urzędów państwowych i kościelnych.

Objęcie władzy przez Kazimierza Odnowiciela (1038), zaprowadzenie ładu w państwie, równocześnie zaś wznowienie kościelnej hierarchii i ożywienie działalności

duchowieństwa świeckiego i zakonnego przyczyniło się do rozszerzenia i ugruntowania chrześcijaństwa w polskim społeczeństwie. Jak dawniej, tak i teraz czas jakiś jeszcze tworzyli szeregi pracujących w Polsce księża świeckich i zakonników przybysze z dalekich nieraz krajów zachodniej i południowo-zachodniej Europy pochodzący. Powoli jednak zaczęli w nie przenikać Polacy, zajmując naprzód najniższe wśród duchownych stanowiska, przedostając się następnie w wyższe i najwyższe ich kręgi.

Dążność do utrzymania pozycji zdobytych przede wszystkim dzięki poparciu książąt i możnowładców, poza tym chęć pozyskania zwolenników w całym społeczeństwie i jak najsilniejszego ich związania z religią chrześcijańską nakazała kołom duchownym dopuszczenie szerokich warstw ludności do brania bodaj w części czynnego udziału w nabożeństwach. Duchowni polskiego pochodzenia lub też ci spośród cudzoziemców, którzy dobrze polszczyznę opanowali, tłumaczą z języka łacińskiego podstawowe modlitwy: Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę, wreszcie Spowiedź powszechną, by je wspólnie ze zgromadzonymi w kościele odmawiać. Ale z początku i ten tak drobny udział ludności polskiej w nabożeństwach nie był powszechny, nawet tak niewielkie ustępstwo na korzyść języka narodowego napotykało opór ze strony księży nie-Polaków, głównie Niemców, którzy długo liczebnie górowali nad polskim wśród duchowieństwa elementem. I dopiero energiczne wkroczenie dostojników kościelnych polskiej narodowości sprawiło, że zwyczajem ogólnym stało się wplatanie po polsku wypowiedzianych modlitw w kościelne obrzędy. Rzec została uregulowana spowodowanymi przez arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jakuba Świnkę, a na synodzie łączyckim w r. 1285 uchwalonymi zarządzeniami, według których każdy proboszcz był obowiązany w niedziele i święta publicznie odmawiać w języku polskim Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę, jeśli zaś miał po temu odpowiednie przygotowanie, winien był również objaśnić po polsku ewangelię na dane święto przypadającą.

Równocześnie zajął się synod łączycki sprawą używania języka polskiego w szkołach kościelnych, gdzie obok łaciny zaczął się coraz częściej rozlegać język niemiecki pod naciskiem księży niemieckiego pochodzenia. By kres szerzeniu się niemieczyny położyć i język polski przed nią wziąć w obronę, podejmuje uczestniczące w synodzie duchowieństwo polskie uchwałę następującej treści: „Postanowiliśmy dla zachowania i poparcia języka polskiego, by w poszczególnych szkołach katedralnych i klasztornych byli wyznaczeni tylko tacy magistrzy, którzy doskonale znają język polski, by mogli chłopcom objaśniać autorów [łacińskich] w polskim języku”.

Powtarza ten nakaz i dokładniej wyjaśnia statut z r. 1287 o następującym brzmieniu: „Postanawiamy, by wszyscy zarządcy kościołów i proboszczowie oraz inni przełożeni w obrębie wszystkich diecezji polskiego narodu, ku czci swych kościołów i dla chwały bożej mając sobie powierzone szkoły, nie ustanawiali do ich zarządu Niemców, chyba że są dostatecznie przygotowani w zakresie polszczyzny, by wyklądać chłopcom autorów i łacinę w języku polskim”.

Z przytoczonych rozporządzeń synodalnych widać, jak rozległy być musiał w w. XIII wpływ żywiołu niemieckiego w szkolnictwie kościelnym i wśród duchowieństwa świeckiego i klasztornego w ogóle, skoro zaszła potrzeba wydania tego rodzaju postanowień. Pomimo swej stanowczości nie od razu jednakowoż odniosły one skutek. Stał na przeszkodzie ich wprowadzeniu w życie z jednej strony niedostatek księży-Polaków, z drugiej zaś odpór księży-Niemców, dostatecznie silnych, by nakazy synodów zbagatelizować. Toteż jeszcze w XIV w. trzeba je było przypominać i ponawiać. Uchwały synodu uniejowskiego z r. 1326 i kaliskiego z r. 1357 wyraźny kładą nacisk na zarządzenie językowe w duchu postanowień synodu łączyckiego.

Wprowadzenie języka polskiego do szkół, chociaż tylko w charakterze środka pomocniczego dla łatwiejszego zrozumienia i zapamiętania przy jego pomocy w dalszym ciągu po łacinie nauczanych przedmiotów, było faktem ogromnej doniosłości wbrew temu, że w pierwszej chwili bylibyśmy skłonni nie przypisywać mu większego znaczenia. Tłumaczenie czytanych w szkole starożytnych autorów zmuszało zarówno nauczycieli, jak uczniów do wyrażania w języku polskim myśli, jakich w nim dotąd nie wyrażano, do kucia nowych wyrazów, do tworzenia niezwykłych zwrotów, do porównywania właściwości języka polskiego z łaciną, do zastanawiania się nad sprawami językowymi, do wysnuwania stąd różnorodnych wniosków, jednym słowem do tych wszystkich czynności i zabiegów, które się z wolna przyczyniają do podniesienia języka na wyższy stopień wyrobienia. W szkołach średniowiecznych, w środowisku ludzi oświeconych i uprawie szkolnej poddawanych, rodzą się pierwsze zawiązki polskiej kultury językowej. Jakie takie wyobrażenie o tym, jak te rzeczy w istocie wyglądały, dają nam pomieszczone w jednym z łacińsko-polskich rękopisów XV w. uwagi nie we wszystkim słuszne na temat polskiego przekładu Modlitwy pańskiej (Ojcze nasz).

Nie dosyć jeszcze na tym. W murach szkolnych powstają zarazem pierwociny polskiego dialektu kulturalnego, z którego później, w wiele lat potem polski język literacki się rozwinie. Język, jakim mówili średniowieczni wykształceni Polacy, nie odbiegał w niczym z początku od języka ludowego dzielnicy, na której terenie żyli i pracowali. Ale niebawem zaczęły do ich języka wchodzić wyrazy z obcych języków zapożyczone, służące do oznaczenia przedmiotów i pojęć z chrześcijaństwem przyniesionych, a pospolitemu ludowi nie znanych. Co więcej, na skutek nazwania ich w niektórych wypadkach wyrazami rodzimymi zmieniły te wyrazy częściowo lub zupełnie swoje znaczenie, przy czym dokonane zmiany znaczeniowe, zależnie od wyrazu, przez dłuższy lub krótszy okres czasu pozostawały bez wpływu na słownictwo ludowe. Zarysowały się w ten sposób pierwsze różnice między ciągle jeszcze w zasadzie jednakowym językiem średniowiecznych polskich warstw oświeconych a średniowiecznym naszym językiem ludowym.

W miarę jak się w Polsce rozprzestrzeniała kultura zachodnia, im się bliżej z nią zżywano, różnic przybywało. Ograniczone na początku do słownictwa – dotknęły pod koniec średniowiecza także systemu gramatycznego. Mnożąc się odsuwały coraz silniej

od języka ludowego dialekt kulturalny, który też z każdym nieledwie dziesiątkiem lat nabierał coraz widoczniej cech odrębnego organizmu językowego. Stał się nim już całkiem wyraźnie w pierwszych dziesiątkach lat w. XVI, by się dzięki sprzyjającym warunkom historyczno-kulturalnym przeobrazić w drugiej połowie tego stulecia w język literacki, czyli ponaddialektyczny organ piśmiennictwa i zarazem mowę warstw wykształconych, normę, której w słowie i piśmie winni się trzymać ludzie oświeceni.

Zanim do tego doszło, włożono moc pracy w budowanie podstaw ojczystego piśmiennictwa najczęściej bez uświadamiania sobie tego, że opracowanie i zapisanie na przykład kazania w języku polskim lub przetłumaczenie psalterza czy jakiejś innej świątobliwej księgi nie tylko Kościołowi służy, ale również sprawie ojczystej kultury i mowy. Pomimo iż język łaciński z upływem lat i wieków wielkie czynił na polskim gruncie postępy, przecież tylko wybrańcy, prawie wyłącznie do sfer duchownych należący, nim władali. Nawet poza tym wysoko postawieni ludzie łaciny nie znali, nie mówiąc już o zwyczajnej szlachcie i prostym ludzie. Wzrastał jednak głód stawy duchowej, a że do jego zaspokojenia mógł posłużyć w ogromnej większości wypadków język ojczysty, zabrano się do opracowywania kazań w języku polskim, do układania czy tłumaczenia modlitw i pieśni kościelnych, do przyswojenia językowi polskiemu Pisma Św. i opowieści z życia świętych. Inicjatywa w tym kierunku wychodziła niekiedy od możliwych osób, które w polskim języku pragnęły się oddawać pobożnej lekturze. Autor pisanego z początkiem w. XIV żywotu błog. Kingi (zm. 1292) stwierdza, że miała ona zwyczaj przed wyjściem z kościoła śpiewać dziesięć psalmów w języku polskim i tak kolejno przechodziła cały psalterz za powodzenie Kościoła. Jak z wiadomości tej wynika, istniał już w czasach Kingi polski przekład psalterza, zapewne na jej życzenie dokonany.

Wiemy dalej o królowej Jadwidze (zm. 1399) wszechstronnie według wymagań swego czasu wykształconej i w obcych językach biegłej, że «serce i myśl zwracała ku modlitwie i ku czytaniu ksiąg boskich, to jest Starego i Nowego Testamentu, homilii czterech doktorów, żywotów świętych, kazań, cierpień świętych męczenników, rozmyślań i modlitw Św. Bernarda, św. Ambrożego, objawień św. Brygidy i wielu innych ksiąg z łaciny na język polski przełożonych».

Kiedy więc w nieodgadnionych okolicznościach przystąpiono do przygotowania dla niej podarunku w postaci księgi zawierającej tekst psalterza w trzech językach, jednym z nich – obok tekstu łacińskiego i niemieckiego – był jego polski przekład.

W rządzie miłośniczek języka polskiego, o których mniej lub więcej dokładne posiadamy wiadomości, trzeba z kolei wymienić Zofię, ostatnią żonę Władysława Jagiełły. Za jej to sprawą i na jej żądanie przetłumaczono Pismo św. na język polski. Przekładu przy pomocy Biblii czeskiej dokonało kilku tłumaczy. Ostatniego znamy z imienia, był nim ks. Andrzej z Jaszowic, który w r. 1455 dokończył dzieła.

I jeszcze jedna kobieca postać z tych samych powodów, co księżna Kinga i królowe Jadwiga i Zofia, zasługuje tutaj na wzmiankę. Jest nią zaledwie z imienia znana Nawojka, zapewne żona jakiegoś wielmoży, w każdym razie osoba dostatecznie zamożna, by opłacić wykonanie książeczki do nabożeństwa, modlitewnikiem Nawojki zwanej. Trzeba bowiem o tym pamiętać, że sporządzenie pisanej księgi czy książki było tak kosztowne, iż tylko naprawdę bogaci ludzie mogli sobie na ich posiadanie pozwolić. Stąd koronowane przede wszystkim głowy – o ile, wyjątkowo zresztą, okazywały zainteresowanie dla języka polskiego – trwale sobie zdobyły miejsce w początkowych jego dziejach.

Inaczej aniżeli wspomniane niewiasty, bo z przyziemnych względów praktycznych, przyczynił się książę czerski (mazowiecki) Bolesław IV (1421–1454) do powstania jeszcze jednej księgi polskiej o całkowicie jednak odrębnej od tamtych treści. Nie znając zapewne na tyle języka łacińskiego, iżby mógł swobodnie operować skodyfikowanymi po łacinie i po łacinie spisanymi prawami polskimi i mazowieckimi przy sprawowaniu władzy, zwłaszcza sędziowskiej, przykazał ks. Świętosławowi z Wojcieszyna i ks. Maciejowi z Rożana przełożyć je na język polski. Przełożone, zostały w latach 1449 i 1450 razem spisane przez Mikołaja Suleda, pisarza i burmistrza wareckiego.

Obracaliśmy się dotąd wśród osobistości na szczytach średniowiecznego naszego społeczeństwa postawionych. Nie zaprzeczając im niewątpliwych zasług w dziele obrony i popierania języka polskiego, godzi się także słów kilka poświęcić pisarzom, tzn. przeważnie tłumaczom, którzy bez względu na liczne przeszkody, jakie przed nimi w ich pracy wyrastały, przybierali język ojczysty w pisaną szatę. O większości ich nic zgoła nie wiemy. Wielu z nich nawet swego imienia nie przekazało potomności, nie dbając o ziemską chwałę i bez myśli o własnym uwiecznieniu realizując cele, jakie ich dziełu przyświecały. Niekiedy przecież ujawniali swoje imiona i bliższe ich określenia (nazwisk jeszcze nie było), zaznaczali wyraźnie, że to oni właśnie, nie kto inny, nie jacyś anonimowi mnisi wzbogacili polskie piśmiennictwo. Czasem więc wiemy, komu w tej mierze winniśmy wdzięczność. Mają więc do niej słuszne prawo wspomniani już Andrzej z Jaszowic i Piotr z Radoszyc (Biblia królowej Zofii), Świętosław z Wojcieszyna, Maciej z Rożana i Mikołaj Suled z Warki (tłumaczenie praw polskich i mazowieckich), a dalej Jędrzej Gałka z Dobczyna (Pieśń o Wiklefie, ok. r. 1449), Waclaw Ubogi z Brodni (Modlitwy Waclawa, ok. 1480), Aleksy Stradomski (tłumaczenie praw polskich, 1503), Włodzisław, czyli Ładysław z Gielniowa (zm. 1505; pieśni religijne), czy Leonard z Bończy (Historia Aleksandra Wielkiego, koniec w. XV, odpis 1510). Z tą samą oczywistą wdzięcznością odnieść się musimy do pisarzy Kazań świętokrzyskich i gnieźnieńskich, Psalterza floriańskiego i puławskiego, Żywotu św. Błażeja, Modlitewnika Nawojki, Legendy o św. Aleksym, Bozmowy mistrza ze śmiercią, Bozmyślenia przemyskiego i innych pomniejszych zabytków języka polskiego, których twórcy milczeniem pokryli fakt, że z ich wysiłku wzięły życie. Wszyscy oni, jedni i drudzy, mniej lub więcej uświadomieni

języka ojczystego szermierze, na powstanie i rozwój dialektu kulturalnego wpływając kładli podwaliny pod język nasz literacki. W tym leży ich wielka wobec kultury narodowej zasługa. Zważywszy zaś okoliczności, w jakich im pisać przyszło, w czym śmiało naruszenie prymatu łaciny na rzecz języka ojczystego na przedni plan się wysuwa, stwierdzić wypadnie, że uznanie ich za najwcześniejszych obrońców polszczyzny ze wszech miar jest uzasadnione.

Sztuka pisania po polsku w wiekach średnich natrafiała na liczne przeszkody, wśród których wcale nie najmniejsze znaczenie miała sprawa pisowni. Żadnych prawideł w tym względzie nie było, każdy pisarz własne obmyślał zasady, a że ich przy tym konsekwentnie nie stosował, daje nam pisownia staropolskich zabytków obraz nieładu utrudniającego z nimi obcowanie. Płynące stąd niedogodności rzucały się w oczy już współczesnym. Znalazł się wreszcie człowiek, który na wzór Jana Husa (1369–1415), reformatora ortografii czeskiej, postanowił polską pisownię uporządkować i jednolity jej system zbudować. Był nim profesor krakowskiej najwyższej uczelni, Jakub Parkoszowicz z Żórawic (zm. 1455). W dobie kiedy jeszcze druku nie było, nie mógł się prędko przygotowany przezeń projekt rozpowszechnić, nawet gdyby był doskonały. Nie przyjął się i dosłownie żadnego wpływu nie wywarł na dalsze losy naszej pisowni z tego powodu, że zbyt był skomplikowany i sztuczny. Ale nie o to nam obecnie chodzi. Ważniejsze jest, że mamy tu po raz pierwszy do czynienia z przejawem świadomej dążności do oddziaływania na zewnętrzny kształt polszczyzny, do wprowadzenia weń ładu, z pierwszym zabiegiem podjętej z pełną świadomością zamierzeń pracy nad języka polskiego uprawą.

Traktat ortograficzny Parkoszowicza, dochowany do dni naszych w jednym odpisie, poprzedził jego uczeń czy kolega uwagami ogólnej treści pod jakże znamienne tytułem: *Walka za ojczyznę. Zasłużoną zyskuje sławę, kto ojczyznę broni*. Do obrońców zaś ojczyzny zalicza anonimowy autor tych uwag nie tylko zwycięzców na polu bitwy, za jej powiększycieli poczytuje nie tylko – jak to u starożytnych Greków bywało – zwycięskich zawodników na igrzyskach sportowych, ale także pracowników poświęcających się udoskonalaniu języka ojczystego i jego w piśmie używaniu. Chwaląc Parkoszowicza za obmyślenie dostatecznego – jak obaj sądzili – sposobu pisania po polsku, zachęca rodaków, by «za przykładem innych narodów myśli swoje we własnym języku wyrażali». Rozprawia się również z głoszonym przez katolickie duchowieństwo poglądem, że się przyczyną wielu błędów stało tłumaczenie ksiąg teologicznych i innych (ma na myśli zwłaszcza Pismo Św.) na języki narodowe. Zachęta do pielęgnowania języka ojczystego i idące z tym położenie nacisku na bezpodstawność twierdzenia, że piśmiennictwa kościelnego nie należy uprzystępniać szerokim kołom społeczeństwa w jego rodzimym języku, jeszcze się nieraz później powtórzą. Jest to nuta, która długo dźwięczeć będzie w wypowiedziach na temat polszczyzny.

Podobnie jak dawniej, także i w XV jeszcze wieku nie tylko ze strony łaciny groziło językowi polskiemu niebezpieczeństwo. Drugim jego źródłem była niemieczyzna,

oczywista przede wszystkim w miastach, w przeważającej nieraz liczbie przez niemieckich osadników zamieszkałych i niemieckimi prawami się rządzących. Niemieckie mieszczaństwo z jawną się na ogół odnosiło nieprzyjaźnią wobec języka polskiego, w czym mu usilnie wtórowało świeckie i zakonne duchowieństwo niemieckiego pochodzenia. Był więc język polski spychany na plan drugi w życiu miejskim i w kościele, gdzie ksiądz niemiecki działał, co szczególnie godność własną ludności polskiej wszystkich klas społecznych raniło i do żywego ją oburzało. Dał temu wyraz najdobitniej Jan Ostroróg, wojewoda poznański (ok. 1436–1501) w swoim łacińskim traktacie pt. Monumentum pro Reipublicae ordinatione (Pamiętnik o naprawie Rzeczypospolitej, ok. r. 1475), występując przeciw niemieckim kazaniom w następujących wymownych słowach: „O, co za ujma i osława dla wszystkich Polaków! Po wielu miejscach w świątyniach naszych odbywają się kazania po niemiecku, i to w miejscu wyniosłym i okazałym; słuchają ich jedna lub dwie baby, a tłumy Polaków duszą się gdzieś tam w kąciku ze swym kaznodzieją! [...] Napominam, aby w tym języku nie kazywano. Niech się uczy mówić po polsku ten, kto chce w Polsce mieszkać! Chyba że takie z nas półgłówki, że zapominamy, iż Niemcy z naszym językiem podobnie obchodzą się u siebie. Jeżeli zaś potrzeba takich kazań dla przybyszów, niechże się one odbywają gdzieś na ustroniach, bez ujmy dla godności Polaków”.

A chociaż zapatrywanie Ostroroga, że język niemiecki w niektórych kościołach z widocznym uszczerbkiem polszczyzny jest popierany i że temu szkodliwemu dla niej stanowi rzeczy kres położyć trzeba, podzielało całe polskie społeczeństwo, nie zaraz nadeszła poprawa. Przyniósł ją dopiero wiek XVI.

Tchnące powiewem Renesansu wystąpienie Anonima spod znaku Parkoszowica w obronie polszczyzny i praw każdego narodu do czytania ksiąg we własnym języku napisanych jest zwiastunem nowej epoki w dziejach języka polskiego, zwłaszcza zaś w historii stanowiska, jakie względem niego dawniej zajmowano w kołach ludzi oświeconych. Zmiana jednak nie przyszła od razu, przełom dokonywał się bardzo powoli. Pomimo bowiem z rozmaitych stron podejmowane w średniowieczu usiłowania uczynienia z języka polskiego organu rodzimego, dostępnego dla wszystkich piśmiennictwa, pomimo nawet pewne uzyskane w tym kierunku osiągnięcia, tkwiło życie umysłowe Polski wieków średnich, ale i potem jeszcze przez czas dłuższy, w pętach łaciny.

Był język łaciński nie tylko językiem służącym zgodnie z tradycją Kościoła katolickiego do odprawiania nabożeństw, był również językiem urzędowym duchowieństwa i językiem nauczania w szkołach przez nie utrzymywanych, był dalej językiem wykładowym Akademii Krakowskiej w r. 1364 przez Kazimierza Wielkiego założonej, a przez Władysława Jagiełłę w r. 1400 odnowionej. Językiem łacińskim posługiwały się kancelarie książąt i królów przy sporządzaniu jakichkolwiek pism i dokumentów z nich wychodzących, w języku łacińskim spisywano akta sądowe, prawa, zarządzenia władz. Domagał się wprawdzie już Ostroróg we wspomnianym

wyżej traktacie, «aby wszelkie umowy i jakiegokolwiek czynności prawne po polsku były spisywane, po łacinie bowiem inaczej uczony, inaczej nieuczony pisze i rozumie. Ojczysty zaś język wszyscy jednakowo wszędzie rozumieją, żadnego jednak na razie skutku żądania jego nie odniosły. W pierwszej połowie XVI w. wtargnął język łaciński także w obrady sejmu, nieraz – nie od razu zresztą – po łacinie prowadzone. Jak w innych krajach środkowej i zachodniej Europy spełniała wreszcie łacina i u nas rolę języka literackiego, toteż choć po polsku na co dzień mówili, w języku łacińskim tworzyli swoje dzieła pisarze z polskiego gruntu wyrosli zarówno w średniowieczu, jak zwłaszcza w pierwszej połowie w. XVI. Dość przypomnieć choćby tylko postaci historyków: Wincentego Kadłubka (zm. 1223), Jana z Czarnkowa (ok. 1320 – ok. 1387), Jana Długosza (1415–1480), Macieja z Miechowa (1457–1523), poetów: Jana z Wiślicy (koniec w. XV – pierwsza połowa w. XVI), Andrzeja Krzyc-kiego (1482–1537), Mikołaja Hussowskiego (ur. w latach 1475–1485, zm. po 1533), Klemensa Janickiego (1516–1543), astronoma Mikołaja Kopernika (1473–1543), pomijając wcale licznych pisarzy pomniejszych. Zwyczaj uprawiania nauki i literatury pięknej w języku łacińskim nie ustał – jak wiadomo – nawet wówczas, gdy się ostatecznie skryształizował polski język literacki, a literatura polska po polsku pisana osiągnęła wysoki poziom wyrobienia artystycznego. Jeszcze wtedy obok pisarzy wyłącznie języka polskiego w twórczości swej używających trafiają się tacy, co ją na równi w obu językach, polskim i łacińskim, rozwijali, i tacy też, którzy po staremu stali na stanowisku, że tylko po łacinie winien się pisarz, uczony czy poeta wypowiadać. Doskonałym przykładem pisarza polsko-łacińskiego jest nie kto inny, jak Jan Kochanowski. Jego twórczość poetycka niemal równolegle dwoma biegła torami: polskim i łacińskim. Podobnie po stronie prozy po łacinie i po polsku pisywał Stanisław Orzechowski (1513–1566). Najwybitniejszymi bodaj przedstawicielami drugiego natomiast kierunku są Andrzej Frycz Modrzewski (1503–1572) czy dużo od niego późniejszy Maciej Sarbiewski (1595–1640). Modrzewski w obfitym swoim dorobku pisarskim najmniejszego drobiazgu po polsku nie napisał, Sarbiewski tylko kazania i mowy okolicznościowe po polsku układał, z czego zaledwie jedno przemówienie drukiem ogłosił. Nie byli zaś w tej mierze wymienieni pisarze zjawiskiem wyjątkowym.

Z całą pewnością nie odosobniony, ale też i nie nazbyt rozpowszechniony pogląd autora przedmowy do ortograficznego traktatu Parkoszowica, że zasłużoną zyskuje chwałę, kto w obronie mowy ojczystej staje, kto się zatem nie waha języka polskiego nie tylko w słowie, ale i w piśmie używać, zyskiwał stopniowo zwolenników. Stąd znaczny przyrost piśmiennictwa polskiego z początkiem wieku XVI, stąd pierwsze próby drukowania po polsku, stąd wreszcie coraz bardziej zdecydowane i coraz częstsze przypominania, że języka polskiego nie należy zaniedbywać, wręcz przeciwnie, jest obowiązkiem Polaków opieką go otoczyć i do korzystania z przysługujących mu w Polsce praw przyrodzonych przypuścić. Ale pozycja łaciny w polskim społeczeństwie oświeconym, a zarazem rządzącym, tego stulecia była tak silna, że nie bez oporów i nie od razu dało się w czyn wprowadzić hasło rzucone przez Anonima z traktatu

Parkoszowica, jakkolwiek okoliczności natury społecznej, narodowej i kulturalnej realizacji tego hasła sprzyjały.

Okolicznościami, które coraz to intensywniejsze zajęcie się losem polszczyzny wywołały, były: po pierwsze wpływ Odrodzenia w istotnych jego przejawach, następnie reformacja i wzrost świadomości narodowej tak wśród szlachty, jak i wśród polskiego mieszczaństwa. Przykład humanistów włoskich i francuskich, którzy o prawa ojczystego języka walczyli i w nim swe dzieła literackie pisali, zachęcał do naśladownictwa i do podejmowania prób uczynienia zeń organu własnego, rodzimego piśmiennictwa pięknego. Gdy jednak humanizm i jego program na nieliczne stosunkowo jednostki wysoko wykształcone bezpośrednio oddziaływał, przychylnie je niekiedy do języka narodowego usposabiając, wpływała reformacja na podniesienie jego znaczenia w opinii szerokich warstw nim mówiących. Sięgnęła ona bowiem, jak gdzie indziej, również i u nas do języka rodzimego i nim się posłużyła do propagandy nowych zasad religijnych i społecznych. W konsekwencji skłoniło to katolików w łacinę przede wszystkim zapatrzonych do odpowiedzi tą samą bronią. Korzystał na tym język polski przez oba nagle obozy, choć nie w tym samym stopniu, popierany. Do pow^Tolnego dźwignania się polszczyzny na coraz to wyższy stopień znaczenia społecznego przyczynił się wreszcie proces pogłębiania się świadomości narodowej nie tylko zresztą szlachty, bo i polskiego mieszczaństwa również, ale zwłaszcza szlachty, która niejednokrotnie w jego obronie występuje, dopominając się o używanie go także we wszystkich dziedzinach życia publicznego.

Niemalą zasługę w rozpowszechnieniu polskiego słowa i w utrwaleniu jego stanowiska w polskim szesnastowiecznym społeczeństwie mają krakowscy drukarze niemieckiego pochodzenia, którzy z wdzięczności za gościnne w Polsce przyjęcie i w dobrze zrozumiałym własnym interesie zaczęli w mowie przybranej ojczyzny książki tłoczyć i wydawać. W osobach dwu zwłaszcza spośród nich znalazła polszczyzna uświadomionych i gorących obrońców. Byli nimi Hieronim Wietor (zm. 1546) ze Śląska i Florian Ungler (zm. 1536) z Bawarii ród swój wiodący. Nie mogąc się temu wydziwić – jak wyznaje Wietor: «gdyż wszelki inny naród język swój przyrodzony miłuje, szrzy, kras i poleruje, czemu sam polski naród swem gardzi i brząka, który mógłby iście [...] obfitością i krasómową z każdym innem porównać», postanowili według słów tegoż samego Wietora «pracować, jakoby wždy polskie księgi były, ażeby się Polacy w mądrości mnożyli». Wprowadzenie w czyn tych zamierzeń nie mogło się oczywiście obyć bez pomocy miejscowych, doskonale językiem polskim władających pisarzy. Nawiązali przeto z nimi żywy kontakt i ich pióra płody, prawie wyłącznie nadal tłumaczenia i przeróbki dzieł łacińskich, w polską drukowaną przystrajali szatę. Podobnie jak Wietor i Ungler, także ich literaccy współpracownicy z kół plebejskich, drobnomieszczańskich wyszli. Nieduży ich zespół stanowili: Biernat z Lublina (zm. ok. 1529), Jan z Koszyczek (pierwsza połowa w. XVI), Baltazar Opec (pierwsza połowa w. XVI), Jan Sandecki-Malecki (koniec w. XV –1567), Stefan Falimirz (pierwsza połowa w. XVI), Stanisław Kleryka-Gąsiorek (zm. 1562), Andrzej Glaber z Kobyлина (zm. ok.

1548) i kilku jeszcze innych. W ich środowisku silniejszy niż gdzie indziej oddźwięk znalazło wezwanie Unglera: «Jedno wy, mili Polacy, [...] rozmiłujcie się języka swego» (posłowie do książki S. Falimirza *O ziołach i mocy jich*, 1534) wyprzedzili też pisarzy do warstwy szlacheckiej należących w pracy nad uprawianiem i krzewieniem języka ojczystego.

Osiągnięcie postępu w dziele nad rozwinięciem języka polskiego w język zdalny do odegrania roli, którą dotąd łacina w życiu publicznym Polski spełniała, wymagało obok zwalczania przesądów, że tylko ona się nadaje do wyrażenia przeżyć intelektualnych i uczuciowych wykształconego człowieka, jeszcze i przełamania obojętności czy nawet nieraz wręcz pogardy względem języka ojczystego, w końcu także jego wewnętrznego i zewnętrznego udoskonalenia.

Lekceważenie przez oświeconych Polaków własnego języka, które tak zgorszyło Wietora, wywołuje na szczęście sprzeciwy. Piętnują niewłaściwy stosunek do ojczystej mowy, do opamiętania i poprawy wzywając, Wietorów w sztuce drukarskiej towarzysząc, Ungler (w posłowie do książki wspomnianego Stefana Falimirza *O ziołach i mocy jich*, 1534), a razem z nim pisarze, Stefan Falimirz (w tejże samej książce, w liście dedykacyjnym do Jana Tęczyńskiego skierowanym), Marcin Bielski (*Kronika wszytkiego świata*, 1551), Stanisław Murzynowski (*Historyja o Franciszku Spierze*, 1551) i kilkakrotnie Mikołaj Rej (*Wizerunk*, 1558; *Zwierzyniec* 1562 i in.). Na szczęście rzucone wówczas przez Unglera wezwanie: «Jedno wy, mili Polacy, [...] rozmiłujcie się języka swego» nie przebrzmiało bez echa. Głoszone także przez innych współczesnych mu i trochę późniejszych miłośników i obrońców języka polskiego (np. Hieronim Spiczyński, *O ziołach tutecznych i zamorskich*, 1542, czy Marcin Urzędów, *Herbarz polski*, (1543–1557) przyczyniło się w znacznym stopniu do zmiany poglądów na rolę języka polskiego w życiu społecznym, do coraz śmielszego przeciwstawiania go łacinie, do rozbudzenia serdeczniej szych względem mowy ojczystej uczuć, na tle czego w połączeniu ze zjawiskiem wzrastającej w Polsce XVI w. samowiedzy i godności narodowej w pełni zrozumiały i uzasadniony staje się okrzyk Rejowy:

A niechaj narodowie wždy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają.

(Figliki, 1574)

Pod tym hasłem dość późno zresztą sformułowanym, ani się już na łacinę oglądając, rozpoczął Mikołaj Rej swoją ożywioną i wielostronną działalność literacką w języku polskim. To samo w gruncie rzeczy hasło przyświecało jego nielicznym poprzednikom i mnogim następcom.

Ale nie tylko drukarze i pisarze przejmowali się niedolą polszczyzny do naprawy krzywdy, jaka się w ich mniemaniu językowi polskiemu działa, nawoływali.

Wszechwładza łaciny i w związku z tym stojące spychanie języka polskiego na dalszy plan oburzało też i szersze koła społeczne. Zdecydowany wyraz ich w tej sprawie stanowisku daje jedna z uchwał szlachty wielkopolskiej na sejmiku w Środzie w r. 1534 (podjętych, zalecająca posłom na sejm do Piotrkowa się udającym upomnienie się o ksiąg różnych w języku polskim drukowanie. Oto jej tekst: «Item prosimy, aby nam księży nie bronili imprymować historyj, kronik, praw naszych i też inszych rzeczy, a zwłaszcza o Bibliją. Abowiem każą sobie bić rzeczy rozmaite, a czemu też nie mają bić naszym językiem? Tu też wielka nam krzywda się widzi od księży, abowiem każdy język ma swym językiem pisma[^] nam księży każą głupiemu być».

Że nie był to wypadek wyjątkowy, że przeciwnie, narzekanie na brak książek polskich, w pierwszym zaś rzędzie łatwo dostępnego przekładu Biblii na język polski rozlegało się powszechnie, świadczą ten sam temat poruszające słowa M. Bielskiego (Kronika wszytkiego świata, 1551) tudzież M. Szarffenbergera (Nowy Testament, 1556). Przyczynił się do tego niechybnie wpływ reformacji, która w propagowaniu nauki Lutra tak ważne miejsce wyznaczyła językom narodowym i do ich równouprawnienia z łaciną dążyła.

Odmienne aniżeli duchowieństwo różnowiercze, które w swojej duszpasterskiej pracy w jak najszerszym zakresie językiem polskim się posługiwało, niezyczliwe na ogół względem polszczyzny stanowisko zajmowało duchowieństwo katolickie, z uporem broniące pozycji zdobytych przez łacinę w życiu umysłowym szesnastowiecznej Polski. Zwłaszcza księży wyższych stopni kościelnych nieprzyjaźnie się do języka polskiego odnosili i gdzie mogli, starali się jego używanie ograniczyć.

Przy takim do języka narodowego kół duchownych nastawieniu zgola nie dziwi, że łacińską przemową witał w r. 1515 Uniwersytet Krakowski kanclerza koronnego, Krzysztofa Szydłowieckiego, jakkolwiek niezbyt był w łacinie biegły, co sam przyznał, po polsku odpowiadając: «Ja jako Polak a więcej w polskiej rzeczy niż w łacińskiej zwyczajony...». Za złe miano – jak stwierdza S. Orzechowski – biskupowi Samuelowi Maciejowskiemu, że na pogrzebie Zygmunta Starego (1548) po polsku, a nie po łacinie żegnał zmarłego króla. Jakże wymowną w tym względzie jest instrukcja, jaką od kapituły krakowskiej otrzymał kanonik, późniejszy biskup Piotr Myszkowski, wydelegowany przez nią w r. 1549 do powitania mającej zjechać do Krakowa pary królewskiej, Zygmunta Augusta i Barbary. Kapituła zastrzegła się, że ma przemówić tylko do króla i tylko po łacinie, natomiast nie będzie osobnym przemówieniem pozdrawiał jego żony: «ponieważ wydało się niegodnym stanu duchownego, aby polska jakaś mowa, nigdy zresztą nie słyszana, była wygłoszona do królowej». Częściowo tylko licząc się z instrukcją, wygłosił Myszkowski łacińską mowę do króla wchodzącego do katedry, królową zaś wbrew woli kapituły przywitał po polsku. Napisanie listu po polsku było w tych czasach poczytywane przez niektórych dostojników kościelnych niemal za przestępstwo. Biskup poznański Benedykt Izdbieński uznał za obrazę skierowanie do niego listu w języku polskim zredagowanego przez biskupa krakowskiego, Andrzeja Zebrzydowskiego (1548), i w sposób ostry mu tę

– jego zdaniem – niewłaściwość wytknął. Podobnie postąpił biskup warmiński i kardynał, Stanisław Hozjusz. Na polski list Jakuba Uchańskiego, biskupa chełmskiego, odpowiedział (1555) upominając go, że biskup katolicki do katolickiego biskupa po łacinie powinien pisać. Tenże sam Hozjusz kiedy indziej zgorszył się z tego powodu, że Orzechowski po polsku pisać zaczął. Na tle okazywanego w sferach duchownych lekceważenia mowy ojczystej i panującego w nich prawie powszechnie przekonania, że jedynie łacina winna służyć do porozumiewania się z sobą ludzi wykształconych, zwłaszcza w piśmie, zrozumiałymi się stają usprawiedliwienia Andrzeja Glabera (*Żołtarz Dawidów*, 1539) wobec Piotra Kmity, krakowskiego wojewody, iż list dedykacyjny do ofiarowanego mu psalterza w przekładzie Walentego Wróbla w polskim języku ułożył. Zdarzały się jednak i wśród najwyższego duchowieństwa katolickiego wypadki szczerego przywiązania do języka polskiego i odważnego w jego obronie wystąpienia. Wspomniany przed chwilą biskup Andrzej Zebrzydowski zaatakowany przez biskupa Benedykta Izdbieńskiego z tego powodu, że w języku polskim list do niego wysłał, odpowiedział z zasługującym na uznanie poczuciem godności własnej i narodowej: Polakiem będąc i do Polaka pisząc, użył w liście języka polskiego i nie pojmuje, dlaczego to ściągnęło na niego naganę ze strony drugiego Polaka.

Niechęć okazywana językowi polskiemu przez duchowieństwo katolickie sprzyjała rozwojowi różnowierstwa, wszystkie bowiem jego odłamy, luteranie, kalwini czy arianie, językiem narodowym swoje nauki szerząc, tym rozleglejszy oddźwięk znajdowali w społeczeństwie. Posługiwali się zaś różnowiercy językiem polskim bez jakichkolwiek ograniczeń w słowie i piśmie zgodnie z przeświadczeniem, któremu hołdowali, a które w sposób prosty i piękny dużo zresztą później, bo już w środku w. XVII wyraził Andrzej Węgierski (1600–1649) w modlitewniku pt. *Kaznodzieja osobny*, to jest sposób odprawowania nabożeństwa osobnego (Gdańsk 1646): «Naprzystojniejsza jest rzecz językiem swoim macierzyńskim (choćby kto umiał i obcy albo łaciński etc.) modlitwy swoje odprawować».

Z tego też obozu wyszły pierwsze drukowane przekłady Pisma Św., pierwsze drukowane postylle, katechizmy, kancjonały, poza tym całe mnóstwo książek i broszur propagandowych, skwapliwie czytanych zarówno przez zwolenników religijnych nowinek, jak i przez ich katolickich przeciwników polskiego słowa spragnionych. Spostrzegłszy wreszcie, że obstawanie przy łacinie, z wyraźną szkodą języka narodowego, zwartości i pogłębieniu wpływów Kościoła katolickiego w Polsce nie sprzyja, lecz przeciwnie, ułatwia jego rozsadzanie, sięgnęli także katolicy po język polski i pod naciskiem opinii publicznej, o czym poprzednio mówiliśmy, zabrali się do przygotowywania i wydawania własnych tłumaczeń tych ksiąg nabożnych, które w polskim opracowaniu protestanckim już w społeczeństwie krążyły, następnie zaś do układania i ogłaszania w druku po polsku pism z różnowiercami polemizujących i do umocnienia katolicyzmu służących. Nawykłym do łaciny i po łacinie w sprawach teologicznych myślącym i piszącym niełatwo przychodziło wypowiedanie się po

polsku, natrafiało na opory, których przewycięzenie nie szło gładko. Wobec niebezpieczeństw jednak, jakie ze strony różnowierców zagrażały katolicyzmowi w Polsce w. XVI i początku XVII, musiano się w końcu z językiem polskim pogodzić. Doskonale tę konieczność rozumiał np. Piotr Skarga (1536–1612), który jeszcze w r. 1608 pisze dosłownie do biskupa krakowskiego, Piotra Tylickiego: «Ludzie ci – mowa o arianach – polszczyzną nawięcej proste zwodzą, zastawić się im tymże językiem potrzeba». On też dopiero wraz z współczesnym mu Jakubem Wujkiem (1540–1597) żywą i wielostronną w języku polskim rozwinął działalność pisarską mającą na celu utwierdzenie zagrożonych pozycji katolicyzmu w Polsce. Wujek i Skarga są pierwszymi naprawdę językowi ojczystemu oddanymi wybitnymi pisarzami katolickimi, są zarazem pierwszymi ponad przeciętność wyrastającymi pisarzami katolickimi, którzy całkowicie wzięli rozbrat z łaciną. Dotąd bowiem jeżeli nawet ten czy ów pisarz katolicki po polsku wydrukował książkę, którą sobie cenił, co prędzej tłumaczył ją na język łaciński, w czym grała rolę i żądza rozgłosu wobec międzynarodowego znaczenia łaciny, i niskie w^T istocie rzeczy o języku polskim wyobrażenie, i zabieganie o względy takich głównie czytelników, co swobodnie po łacinie czytać umieją. Stąd np. świetnie sobie z polszczyzną dający radę Marcin Kromer (1512–1589), który po polsku kazał rozprawić dworzaninowi z mnichem na temat stosunku Kościoła katolickiego do nauki Lutra, wkrótce po pojawieniu się dzieła w języku polskim przełożył je na łacinę i wydał za granicami Polski. Taki urok nawet na uświadomionych Polaków obozu katolickiego wywierała łacina w dawnej Polsce.

Do trudności natury społecznej, jakie stały na przeszkodzie rozwojowi polszczyzny, dodać należy jeszcze inne, ściśle językowe, które trafnie ujął jeden z szesnastowiecznych pisarzy, mianowicie wspomniany co dopiero Kromer w łacińskim traktacie o położeniu, narodach, obyczajach, urzędach i rzeczypospolitej Królestwa Polskiego (1577) w takich oto słowach: „nasza mowa nie jest tak obfita jak inne, ani tak łatwa do pisania i czytania”. Istotnie niełatwo było pisać po polsku, dopóki się nie wyrobiły pewne ogólniej przyjęte zasady ortograficzne, niełatwo też było czytać pisane i drukowane polskie książki przed jakim takim ustaleniem się tych zasad. Sprawę z płynących z ich braku niekorzystnych dla rozwoju języka i piśmiennictwa polskiego następstw zdawano sobie od dosyć dawna. Wszakże już w połowie w. XV opracował Jakub Parkoszowic z Żórawic daleki niestety od doskonałości system pisowni polskiej z myślą o zaradzeniu złemu. Tkwiące w projekcie Parkoszowica różnorodne niedomagania sprawiły, że nie znalazł uznania i rychło poszedł w niepamięć. Drugi dziesięć lat w. XVI przynosi nową próbę uporządkowania chaotycznej pisowni. Podjął ją Stanisław Zaborowski, który ok. r. 1513 wydał drukiem poświęcony tej sprawie osobny traktat podobnie jak Parkoszowicowy po łacinie napisany. Jako zbyt na swoje czasy rewolucyjny, zbyt radykalnie w niejednym punkcie zrywający związek z pisownią dotychczas stosowaną, niewolny przy tym także od pewnych wewnętrznych niedociągnięć, nie oddziałał i ten traktat zupełnie na losy pisowni polskiej. Usiłował ją z kolei zreformować Jan Seklucjan (ok. 1510–1578) w Krótkiej a prostej nauce czytania

i pisania języka polskiego, pomieszczonej w wydanych przezeń Katechizmach z r. 1547 A 1549, wkrótce zaś po nim i z większym od niego powodzeniem Stanisław Murzynowski (1528–1553). Drukując w r. 1551 swój własny przekład Nowego Testamentu, poprzedził go ułożonym samodzielnie traktatem ortograficznym, w tym celu – jak się sam wyraża – „aby każde słowo czytano i pisano nie jako tako, ale pewnym obyczajem”. Pomysły ortograficzne Murzynowskiego, wprowadzone w życie w jego tłumaczeniu Nowego Testamentu, górują nad poprzednimi próbami ustalenia pisowni polskiej systematycznością i dokładnym przemyśleniem przedmiotu. Gdy więc Parkoszewicz, Zaborowski i Seklucjan na ortograficznym odcinku swojej działalności nie osiągnęli powodzenia, wpłynął w pewnej mierze Murzynowski na krakowskich drukarzy i współpracujących z nimi pisarzy, faktycznych twórców polskich prawideł ortograficznych. Ich wszakże ostatecznie dziełem, a nie autorów ortograficznych traktatów, jest wypracowanie zasad poprawnego pisania po polsku. Z ich współpracy i wysiłków po licznych i długotrwałych próbach powstał dopiero w drugiej połowie w. XVI polski system ortograficzny, którego w podstawowych założeniach do dziś dnia z niedużymi stosunkowo zmianami używamy. Miał więc rację Kromer, gdy stwierdzał, że mowa polska «nie jest [...] łatwa do pisania i czytania», zwłaszcza w odniesieniu do przeszłości, w jego bowiem czasach wyraźna się już zaznaczała poprawa w kierunku uporządkowania pisowni.

W stopniu o wiele silniejszym, aniżeli niedołęstwo pisowni, przeszkadzało rozwojowi rodzimego piśmiennictwa i humanistycznej w treści a narodowej w formie kultury – niewyrobień języka polskiego, nieporadność stylistyczna, wyrażająca się w ciężkiej budowie zdań rozciągniętych niekiedy ponad w^Tszelką rozsądną miarę, w nierzadkich wykojeńeniach składniowych, w zerwaniach myśli zawisających nagle w próżni wobec nieumiejętności czy nieudolności ich wypowiedzenia w piśmie, krótko mówiąc: brak wszechstronnie rozwiniętego języka literackiego, stanowiącego przykład, do którego stosowanie się jest obowiązkiem każdego człowieka wykształconego.

Z całą pewnością nie istniał jeszcze u nas w pierwszej połowie w. XVI język literacki, choć się już powoli tworzył. Wiemy dziś dobrze, że dopiero w drugiej połowie tego stulecia wykrystalizował się pod piórem znakomitych pisarzy (Mikołaj Rej, Stanisław Orzechowski, Łukasz Górnicki, Jan Kochanowski, Piotr Skarga i in.) z dialektu kulturalnego, tzn. z języka, jakim mówiono i pisano w krakowskim środowisku ludzi oświeconych, zanim język literacki powstał.

Młody twór swoistej polskiej kultury literackiej i językowej, świeżo ukształtowany polski język literacki nie przedstawiał się od razu i nie mógł się przedstawiać jako dzieło doskonałe. Nastęrczał nadal piszącym trudności, których pokonywanie nie było rzeczą łatwą. Żalą się przeto pisarze raz po raz na języka ojczystego «nieforemność» (np. M. Rej, Postylla, 1557 lub Apophtegmaty, 1568), «grubość» czy «trudność» (Ł. Górnicki, Dworzani, 1566), «niedostatek» (St. Orzechowski, Policja, 1566). Narzekają na to swoi, wytykają te braki obcy, dość

wspomnieć czeskiego drukarza i pisarza Mikołaja Konacza (1545) i działającego w Polsce Hiszpana Piotra Rojzjusza (zm. 1571), łacińskiego pisarza i poetę.

Najdłużej utrzymują się skargi na ubóstwo słownictwa. Czytamy je tak dobrze w Szarffenbergerowskim wydaniu Nowego Testamentu (1556) na początku drugiej połowy w. XVI, jak i kilkakrotnie później, u Wawrzyńca z Przasnysza (*Nauka o pokucie*, 1559), u St. Orzechowskiego (*Policyja*, 1566), u M. Kromera (*Polonia*, 1577), u J. Januszowskiego (*O lidze oracyja*, 1596), u S. Gosławskiego (*Castus Jozeph*, 1597). Na braki z zakresu słownictwa specjalnego, filozoficznego wskazują H. Powodowski (*Korab zewnętrzznego potopu*, 1588) i J. Januszowski (*O pochodzeniu Ducha Św.*, 1605), teologicznego zaś H. Małecki (*Postylla*, 1574), braki w dziedzinie terminologii prawnej podnosi P. Szczerbic (*Speculum Saxonum*, 1581).

Nie zważając na przeszkody twórczą pracę w języku polskim utrudniające, nie zniechęcając się oporami stawianymi przez surowy, zwłaszcza w pierwszej połowie XVI w., materiał językowy, nie wypuszczają pisarze tego stulecia pióra z ręki, piszą z zapałem i wytrwałością niekiedy w pasję przechodzącą. Piszą niestrudzenie, «ażeby sie Polacy w mądrości mnożyli» (H. Wietor, przedmówca do *Żywotu Pana Jezu Krysta*, 1522), «ku pomnożeniu nauki w piśmie polskim» (A. Glaber, *Problemata Aristotelis*, 1535), «aby [...] naród swój i język zdobili» (M. Rej, *Wizerunk*, 1558), «żeby między temi ludźmi, co je barbaros zową, poczytan nie był naród polski» (Ł. Górnicki, *Troas*, 1589).

Jednak nie tylko względy natury ogólnie patriotycznej tu działały. Szły z nimi w parze pobudki charakteru społecznego: chęć przysłużenia się prostemu człowiekowi, aby i on także, łaciny nie znający, miał dostęp do źródeł wiedzy. Potracając o tę strunę niedwuznacznie A. Glaber (*Żołtarz Dawidów*, 1539), M. Urzędów (*Herbarz*, 1543–1547), St. Murzynowski (*Historyja o Spierze*, 1551), M. Szarffenberger (przedmowa do wydania Nowego Testamentu, 1556), M. Rej (*Postylla*, 1557), B. Groicki (*Porządek sądów*, 1559), Wawrzyniec z Przasnysza (*Nauka o pokucie*, 1559), P. Szczerbic (*Speculum Saxonum*, 1581), J. Januszowski (*O lidze oracyja*, 1596). Objaw to ze wszech miar zasługujący na podkreślenie.

Powolny zanik skarg na nieokrzeseanie polszczyzny, choć się nadal utrzymują utyskiwania na braki wyrazowe, zdaje się świadczyć, że wcześniej, niż się bogacił słownik, porządkował się system gramatyczny, pręcej się ustalały formy stylistyczne polskiego dialektu kulturalnego i wyrosłego zeń języka literackiego. Istotnie, widzi się to jasno, gdy się kolejno czyta pierwsze i późniejsze polskie książki drukowane, a następnie dzieła wybitniejszych pisarzy szesnastowiecznych. Z postępu, jaki na tym polu czyniła polszczyzna, dobrze sobie sprawę zdawali współcześni. Mikołaj Rej tak o tym pisze w *Wizerunku własnym żywota człowieka poczciwego* (1558): «...o Polaku powiedają, iż żądny naród nie jest przykłonniejszy i ku kształtom, i ku każdemu ćwiczeniu, jak Polak, gdy do czegożkolwiek pilności i chuci dołożyć będzie chciał. Co sie to znaczy niedaleko jeżdżąc, kto pomni mało przeszłe czasy, jesliże język albo wymowa, albo każdy iny kształt dzisiejszych Polaków ku pierwszym terminom polskim

jest podobny, którym snadź drugim ledwie rozumiemy?».

W niespełna dwadzieścia lat jeszcze wyższą ocenę daje językowi polskiemu H. Małecki (Postylla, 1574): «Toć prawda jest, iże polska mowa jest dosyć culta i elegans. Ale w teologijej prawie barzo mało albo nic nie jest exculata okrom tego, iże w tych czasiech przez ty lata in rebus sacris trochę sie wypolerowała i ozdobniejsza sstała».

Trochę później, niemal pod koniec szesnastego stulecia, J. Rybiński (*De linguarum genere*, 1589) z największym uznaniem i radością wyraża się o zdobyczach osiągniętych przez twórczy nad uprawą języka polskiego wysiłek: «Nasz język [...] czysty jest w mowie, czysty w piśmie, obfituje we wszystkie ozdoby wykwinntniej szego stylu i z prostackiej surowości poprzedniego wieku tak został oczyszczony przez niektórych wybitnych pisarzy, między którymi dwaj najwięksi poeci, Rej i Kochanowski, bez wątpienia pierwsze zajmują miejsce, i tak przy tym wygładzony, że przybrał zgoła nową i pod każdym względem skończoną szatę».

Postępy dokonane w ciągu XVI stulecia przez polski język piśmienny nie zdołały w cień zepchnąć łaciny. Łacina przez cały ten okres czasu, zarówno w pierwszej, jak w drugiej połowie tego wieku, otoczona jest bez przerwy nimbem doskonałości, na której wyżyny się wznieść wydaje się poniektórym z polskich pisarzy wręcz niemożliwością. Bezgranicznemu swemu podziwowi dla języka łacińskiego i własnej – jak im się zdaje – bezradności w dążeniach, aby mu dorównać, niejednokrotnie dają wyraz pisarze polscy. Nieznany nam bliżej tłumacz po łacinie przez S. Orzechowskiego napisanej broszury politycznej wzywającej do wojny z Turkami (*O ruszeniu ziemie polskiej przeciw Turkowi*, 1543) nie ukrywa niższości przekładu wobec łacińskiego oryginału, stwierdzając wprost: «Kto umie łacińskie, będzie raczej wolał jego [tj. Orzechowskiego] phrasim czytać, bo ja w tym wykładzie ku onej spaniłości przyć nie mógł» – «Zaprawdę trudno polską rzecz ku łacińskiej wieść» – powiada, niejako tłumaczowi Orzechowskiego wtórując, S. Koszucki (*B. Lorichiusa Księgi o wychowaniu*, 1558). Od strony nie stylu czy składni, ale słownictwa rzecz ujmuje J. Januszowski (*O lidze oracyja... na polski język przełożona*, 1596): «Zdało mi sie nie od rzeczy osobę Waszej Miłości [tj. M. Zebrzydowskiego] [...] tą oracyją polską poczie [...]. Wiem, że z łacińską nie zrówna: tam bowiem słowa na wybór i co słów, to węzłów, co w polskim być nie może, a co więtsza, milsza rzecz zawsze łacińska niż polska».

Kiedy indziej znowu (*Rzecz o pochodzeniu Ducha Św.*, 1605): «A co więtsza, choć sie podczas zda, że sie właśnie słowo które na polskie przełoży, jakoż czasem inaczej przełożyć sie nie może, a przedsię tej energijej, tej mocy, tej wdzięczności i tej własności nie ma, którą ma słowo łacińskie».

Te wszystkie łaciny zalety i doskonałości nie odstręczały tych, co je pod niebiosa wynosili od pisania po polsku, przeciwnie, czasem podniecały do wysiłku, aby jej dorównać. Najlepszym tego przykładem jest nie kto inny, ale właśnie chwalcą języka łacińskiego, Jan Januszowski, sam wiele po polsku piszący i innych, jak na drukarza-

wydawcę ojczystej mowie oddanego przystało, do pisania po polsku zachęcający. Było bowiem jednym z rzucających się w oczy objawów życia umysłowego Polski w. XVI szczerze przejęcie się sprawami języka polskiego. Wśród nich obok już omówionych wymienić wypada dwie na temat języka ojczystego dyskusje, jedną rzeczywistą, J. Sandeckiego-Maleckiego z J. Seklucjanem i S. Murzynowskim (1545–1551), drugą natomiast fikcyjną, dworzan króla Zygmunta Augusta, Wojciecha Kryskiego, Aleksandra Myszkowskiego, Andrzeja Kostki i kasztelana lubelskiego, Stanisława Maciejowskiego, przedstawioną przez Ł. Górnickiego w Dworzaninie (1566).

Tkwiący całą swoją istotą w średniowiecznym polskim piśmiennictwie i języku konserwatysta językowy, Jan Sandecki-Malecki (koniec w. XV – 1567), nie może zrozumieć młodszych od siebie wiekiem i nowszą fazę rozwoju polszczyzny reprezentujących Jana Seklucjana (ok. 1510–1578) i Stanisława Murzynowskiego (1528–1553). Wytyka im pokaźny szereg w jego mniemaniu błędów, zwłaszcza w dziedzinie słownictwa. Błędem zaś dla niego było wszystko, co nie odpowiadało jego poczuciu językowemu. Małopolanin z południowej Małopolski rodem, z używanym w Krakowie dialektem kulturalnym zżyty, potępiał próby modernizacji języka książkowego przez Seklucjana i Murzynowskiego podjęte. Raziły go również północnopolskie dialektyzmy w ich pismach się znajdujące, pochodzili bowiem obaj z północnej Polski i wobec nieistnienia jeszcze w ich czasach obowiązującego wszystkich ludzi oświeconych języka literackiego bynajmniej nie unikali osobliwości dialektycznych swoich stron rodzinnych. Zaczepiony przez Sandeckiego-Maleckiego odpłaca mu Seklucjan podobną w zasadzie monetą. Zarzuca mu więc, że popełnia błędy językowe polegające na odmianę na tym, iż wprowadza dialektyzmy południowomałopolskie, z którymi Seklucjan nie był oswojony, a dalej, iż się posługuje formami przestarzałymi. Dzielili Sandeckiego-Maleckiego tudzież Seklucjana i Murzynowskiego jeszcze jedna różnica. Ulegał Sandecki-Malecki bardzo silnie wpływowi języka czeskiego, który – jak z naciskiem podkreśla – winien być wzorem dla polszczyzny. Sporo też czechizmów znajdziemy w jego języku. Mniej sobie natomiast cenili język czeski tak Seklucjan, jak Murzynowski, co niewątpliwie z tym faktem idzie w parze, że byli północnymi Polakami i żadnych związków nie mieli z krakowskim środowiskiem kulturalnym. Nie brak za to w ich słownictwie naleciałości niemieckich, głównie u Seklucjana, a nadto łacińskich. I ta sprawa została w sporze na jaw wydobyta. Jakkolwiekbyśmy się zapatrywali na stanowisko oponentów, cokolwiekbyśmy powiedzieli o zarzutach i argumentach przez nich wysuwanych, przyznać musimy, że kierowała i Sandeckim-Maleckim, i Seklucjanem, i Murzynowskim miłość języka ojczystego i szczerze doń przywiązanie, a także wysokie mniemanie o jego społecznej ważności.

Nie inne pobudki powodowały Górnickim, kiedy tłumaczył i przerabiał z języka włoskiego głośne w XVI w. dzieło Baltazara Castiglione pt. *Il Cortegiano* (Dworzanin), opisujące życie dworskie doby Odrodzenia, i na podstawie pomieszczonych w nim wywodów o języku włoskim kreślił szereg cennych uwag na temat swojego języka

ojczystego. W oparciu o pierwowzór, ale i o bezpośrednie spostrzeżenia własne, omawia Górnicki zagadnienia językowe przez współczesnych poruszane, za pośrednictwem osób, które w Dworzaninie polskim występują i nad tym się zastanawiają, jaki być powinien prawdziwy dworzaniec. Uczestnicy przedstawionej przez Górnickiego rozmowy zajmują się najpierw sprawą wprowadzenia do języka polskiego wyrazów obcych, zwłaszcza czeskich. Z kolei rozprawiają o wzajemnym stosunku języka mówionego i pisanego, po czym znowu powracają do obszerniejszego tym razem rozpatrzenia problemu zapożyczeń z języków innych poza czeskim, a więc z łaciny, z języka niemieckiego, włoskiego itd. Daje to zarazem Górnickiemu sposobność wypowiedzenia się, co sądzi w ogóle o językach słowiańskich, w szczególności który z nich jest najpiękniejszy i najbardziej oglądany. Oświadczając się za umiarkowanym korzystaniem z cudzych zasobów wyrazowych i ograniczeniem zapożyczeń do wypadków koniecznych, wskazuje trzy źródła rodzime, z których w razie potrzeby można uzupełniać słownictwo. Są to archaizmy, neologizmy, a wyjątkowo i dialektyzmy. W uwagach końcowych oddaje Górnicki największe pochwały grece i łacinie i piśmiennictwu w językach tych stworzonemu. Z szczególnym przy tym uznaniem wyraża się o świadomej pracy uczonych Rzymian nad językiem łacińskim, co go dopiero doprowadziło «ku tej doskonałości, którą teraz widzimy». W nawiązaniu zaś do tych słów powiada z westchnieniem: «I nasz język polski rychło by urósł, gdybyśmy się go rozmiłowali, ale nie wiem, czemu tak podle rozumiemy o swym języku, jakoby łacińskich nauk w się wziąć nie mógł, co się mnie wielkie głupstwo widzi».

Zmyślona przez Górnickiego dyskusja o języku polskim, rzekomo w podmiejskiej willi biskupa krakowskiego i kanclerza koronnego przeprowadzona, nie jest przecież fikcją absolutną. Odzwierciedlają się w niej niechybnie nie tylko myśli pierwowzoru i echa walk o włoski język narodowy, o które się Górnicki otrzeć musiał w czasie swego długiego we Włoszech pobytu, ale także wspomnienia rozmów i roztrząsań w obronie ojczystej mowy toczonych w kraju przez polskich humanistów. Brał w nich czynny udział i niejedno wypowiedziane w ich toku zdanie o konieczności troskliwej języka polskiego uprawy w swoim spolszczonym Dworzaninie utrwalił.

Zainteresowania problemami językowymi nurtujące w oświeconej części społeczeństwa polskiego, w kołach inteligencji twórczej, a nieraz i rządzącej, drugiej połowy w. XVI przejawiały się między innymi w ponownej fali prób udoskonalenia i ustalenia polskiej pisowni. Przed podjęciem usiłowań w tym kierunku nie uchronili się tym razem nawet najwybitniejsi nasi ówcześni pisarze. Wiemy o Stanisławie Orzechowskim, że się w sprawach ortograficznych porozumiewał ze znanym drukarzem krakowskim, Łazarzem Andrysowicem, i snuł plany radykalnego zmodyfikowania pisowni polskiej. Łukasz Górnicki i Jan Kochanowski nowe systemy ortograficzne opracowali, różne od dotychczasowych i między sobą znacznie się różniące. Pierwszy z dwu wymienionych ostatnio reformatorów ortograficznych w pismach swoich odręcznych własną się ortografią posługiwał, Kochanowski poprzestał na

przygotowaniu rozprawki, w której wyłuszczył swoje poglądy na pisownię polską. Dopiero po śmierci poety ujrzała ona światło dzienne. Wydał ją Jan Januszowski, syn Łazarza Andrysowica, drukarz i pisarz w jednej osobie, łącznie z ortograficznymi rozważaniami i propozycjami Górnickiego, przy czym obu znakomitych pisarzy na tematy ortograficzne wypowiedzi i reformatorskie ich projekty zaopatrzył krytycznymi uwagami (Nowy charakter, 1594). I jemu bowiem leżało na sercu zaprowadzenie ładu i stałości w pisownię polską z grubsza już wprowadzone uporządkowaną, w drobiazgach jednak ciągle jeszcze chwiejną. Miał prócz tego Januszowski ambicje stworzenia narodowego pisma polskiego, osobnego polskiego kroju czcionek. Obmyślił je i przygotował, ale jego w tej mierze zabiegi poza stadium początkowych prób nie wyszły. Co szczególnie ciekawe, zagadnieniami ortograficznymi interesowali się także ludzie spoza środowiska drukarzy i literatów, np. hetman Jan Zamoyski, który z Kochanowskim niedomagania pisowni polskiej omawiał. Ortograficzne roztrząsania Kochanowskiego, Górnickiego i Januszowskiego, jak to się już i wcześniejszym reformatorom pisowni zdarzało, odgłosu u współczesnych i potomnych nie znalazły, sławy im nie przysporzyły. Zasługują pomimo to na pamięć jako jeszcze jedno bezpośrednie świadectwo panujących w Polsce XVI w. skłonności do poruszania spraw językowych. Obchodzą nadto historyka polszczyzny z innego również względu. Przynoszą wszakże szereg wskazówek oświeclających wręcz niektóre właściwości i tendencje w języku polskim XVI w. istniejące.

Z szczyrych a powszechnych zainteresowań polszczyzną, jakie szesnastowieczne życie kulturalne polskie przenikają, wyrosły wreszcie dwa dzieła o trwałym znaczeniu, mianowicie pierwszy na większą skalę zakrojony słownik języka polskiego oraz pierwsza polska gramatyka. Słownik w języku łacińskim zredagowany i od łacińskiego hasła wychodzący jest tworem Jana Mączyńskiego (*Lexicon Latino-Polonicum*, 1564), zaprawionego do prac leksykalnych w czasie studiów zagranicznych. Obejmuje jego dzieło ogromny zasób wyrazów polskich i przynosi wielką ilość szczegółowych o nich wiadomości, napisane zaś zostało w dwu celach. Miało więc z jednej strony ułatwić praktyczną znajomość zarówno słownictwa i frazeologii łacińskiej, jak i polskiej, miało poza tym wykazać, «że język polski, czyli słowiański, jest nie mniej obfity w słowa i zdania, nie mniej poważny i powabny niż którykolwiek inny». By podnieść w oczach czytelników znaczenie języka polskiego, silnie podkreśla Mączyński jego związek z innymi językami słowiańskimi, uważając je wszystkie za jeden w gruncie rzeczy język, mogący się poszczycić genealogią zamierzchłych czasów sięgającą, a z licznych dialektów się składający. Język polski, zdaniem Mączyńskiego, jest tylko jednym wspólnego języka słowiańskiego narzeczem, tego języka, którym mówią liczne plemiona także poza granicami dawnej Rzeczypospolitej siedzące. Dla celów praktycznych przygotowany posiada ten słownik rzetelną wartość naukową jako niezastąpione w wielu wypadkach źródło do poznania szesnastowiecznej polszczyzny.

W kilka lat po Słowniku Mączyńskiego pojawia się nieduża rozmiarami, ale

w treść bogata Gramatyka języka polskiego, której opracowanie winniśmy Francuzowi z pochodzenia i znanemu w Polsce działaczowi różnowierzemu, Piotrowi Satoriusowi-Stojeńskiemu (*Polonicae grammatices institutio*, 1568). Widząc, jaką trudność sprawia cudzoziemcom nauczenie się języka polskiego, postanowił przyjść im z pomocą i w gramatyczne ująć kształty właściwości mowy przybranej ojczyzny. Nie był to jednak wyłączny powód, dla którego przystąpił do pisania gramatyki. Szło mu jeszcze i o co innego. Wdzięczny za gościnność, której w Polsce doświadczył, pragnął wykazać, że język polski wbrew niedorzecznym – jak stwierdza – o nim sądom nie jest «nie uporządkowany, barbarzyński, niemiły, niedostępny i trudny do objaśnienia», lecz «łatwy do zrozumienia i przyjemny». Choć cudzoziemiec, okazał się Satorius-Stojeński dobrym znawcą polszczyzny i baczny jej właściwości obserwatorem. Książka Satoriusa-Stojeńskiego ułatwia nam znakomicie wniknięcie w strukturę gramatyczną współczesnego mu języka polskiego. W tym zakresie spełnia ona zatem tę samą rolę, co dzieło Mączyńskiego w dziedzinie słownictwa. W historii badań nad językiem polskim zajmują obie te prace poczesne miejsce.

Obok zadań ściśle naukowych i dydaktycznych miał na widoku zarówno słownik Mączyńskiego, jak i gramatyka Satoriusa-Stojeńskiego wzięcie języka polskiego w obronę przed tymi, którzy odnosili się do niego już to z niechęcią, już to z lekceważeniem. Ten wyłącznie charakter posiada wydrukowana w r. 1569 w Królewcu łacińska książeczka Marcina Kwiatkowskiego pt. *Libellus fere aureus latissimum usum linguae Slavonicae fideliter demonstrans* (Książeczka po prostu złota, dowodząca pewnie bardzo szerokiego użycia języka słowiańskiego). Jej treścią jest pochwała polszczyzny, pojmowanej jako jeden z dialektów języka słowiańskiego, napisana zaś została w tym celu, aby podnieść znaczenie języka polskiego w opinii oświeconych niemieckich mieszkańców Prus Wschodnich. Podobnie rzecz się ma z wydaną w r. 1589 w Gdańsku broszurą Jana Rybińskiego pt. *De linguarum in genere tum Polonicae seorsim praestantia et utilitate oratio* (Mowa o ważności i użyteczności języków w ogóle, a w szczególności języka polskiego). Przedstawiając w niej korzyści, jakie płyną z nauki języków obcych, zachęca Rybiński gdańszczan do uczenia się na równi z innymi także języka polskiego, a to ze względu na jego starożytność, rozpowszechnienie w świecie i wysoki poziom ogłady. Niewolny od twierdzeń fantastycznych, w duchu epoki zresztą utrzymanych, służył traktat Rybińskiego propagowaniu języka polskiego w wyższych sferach gdańskiego niemieckiego mieszczaństwa i prostowaniu błędnych na język polski zapatrywań. I jedno, i drugie dziełko, owoc szczerych i serdecznych uczuć względem języka polskiego, zasługuje na wdzięczną pamięć każdego, komu jest bliska polska przeszłość językowa.

Walka o język polski rozgrywa się jednakże nie tylko na polu literackim i naukowym. Rozpętana przez pisarzy, drukarzy i badaczy naukowych, na modłę oczywista szesnastowieczną, przenosiła się też w inne dziedziny życia społecznego. Od r. 1543 począwszy zaczyna się uchwały sejmowe redagować i ogłaszać w języku polskim, od roku zaś 1548 prowadzi się po polsku nadto i diariusze. Na sejmie

piotrkowskim w r. 1562 postanowiono wreszcie przełożyć skodyfikowane w języku łacińskim prawa polskie na język narodowy. Oto brzmienie odpowiedniej uchwały, przez króla Zygmunta Augusta zatwierdzonej i następnie w jego imieniu ogłoszonej: «Bacząc potrzebę, aby prawa a statuta polskie polskim językiem były potrzebniejsze wszystkim niż łacińskie, z tych przyczyn deputujemy z radą panów rad koronnych pewne osoby ku takowej sprawie na tym sejmie przyszłym».

Zgodnie z zaleceniem sejmu piotrkowskiego wybrano do tego celu na sejmie warszawskim w r. 1563 osobną trzechosobową komisję. O jej składzie i powierzonych jej zadaniach mówi powzięta na nim nowa w tej sprawie uchwała: «Na przełożenie statutu z łacińskiego na polskie i na zgodzanie i znaszanie wszystkich statutów deputujem pana lubelskiego, księdza Kijowskiego a pana Herbórta, podkomorzego przemysł[s]kiego, którzy do przyszłego sejmu koronnego mają ji ⁴⁰ przełożyć na polski język i zgodzić wszytki statuta i konstytucyje sejmowe tym porządkiem, jako jest correctura statutorum, nie odstępując w niczym prawa pospolitego, ani mu nic ujmując, ani przyczyniając i na przyszły sjem mają to ku przejrzaniu a rozsądkowi sejmowemu przywieść. A jeśliby którykolwiek z tych wyszszej namienionych do przekładania tego z przyczyny słusznej być nie mógł, tedy nam będzie wolno inego na to miejsce dać i naznaczyć».

Gdy dwu członków komisji tej przed ukończeniem pracy zmarło, jej wykonanie powierzył sejm piotrkowski w r. 1565 i król Zygmunt August Janowi Herburtowi z Fulsztyna, podkomorzemu przemyskiemu: «Pozwalamy, aby urodzony Jan Herbórt z Fulsztyna ⁴³, podkomorzy przemysł[s]ki, sekretarz nasz, sam tylko, tak jako już począł, statut na polskie przełożył i na przyszły sjem koronny wygotował».

Przekład ten pojawił się drukiem w r. 1570. W ślady Herburta poszedł następnie Stanisław Sarnicki (Statuta i metryka przywilejów koronnych, 1594). W ciągu ćwierćwiecza dwa tłumaczenia praw polskich: dowodzi to, jak słuszna i potrzebna była uchwała sejmowa nakazująca ich w polskim języku podanie. Jej uzasadnieniem między innymi względami mogą być piękne i lapidarne słowa Sarnickiego, że «Polakom językiem polskim naj-przystojniej w tej mierze filozofować». Ujmują się posłowie za językiem polskim w toku obrad także przy innych poza wspomnianą sprawach. Wystąpieniem w jego praw obronie jest oświadczenie Jana Tęczyńskiego, wojewody sandomierskiego, złożone na sejmie piotrkowskim w r. 1548: «... bom sie w Polszczę urodził i w Polszczem sie chował, innemu językowi nie rozumiem, jeno polskiemu, i stąd każdy rozumieć może, że innego pana mieć nie chcę, jeno który by mnie rozumiał i ja jemu». Nie czym innym są wyrazy podziękowania, jakie na sejmie piotrkowskim w r. 1563 skierował marszałek sejmu Mikołaj Siennicki do króla Zygmunta Augusta za to, że po polsku do zgromadzonej izby poselskiej przemówił: «... jakoś sie Wasza Królewska Miłość, Pan a Król nasz, z nami poddanemi swemi o wolnościach naszych rozmawiać miłościwie raczył, nie cudzoziemskim językiem, ale rodowym naszym, nie przez tłumacze, ale usty swemi własnemi pańskimi».

O nastrojach, jakie względem mowy ojczystej panowały wśród niektórych tylko co prawda posłów, świadczy w sposób szczególnie dobitny następujące wydarzenie. Na sejmie lubelskim w r. 1569 użył marszałek Stanisław Czarnkowski w przemówieniu zwrotu: «Z żalością tego używam, Najjaśniejszy Miłościwy Królu, że tu jest z Ich Miłościami Pany Posły przed Waszą Królewską Miłością *accusatus*». W tej chwili przerwał mu je poseł krakowski, Stanisław Szafraniec, upomnieniem: «Panie, mów Wasza Miłość po polsku, wszakeśmy tu wszytko Polacy». Bozlegające się od czasu do czasu w sejmie wypowiedzi na korzyść języka polskiego wzmocniały stanowisko jego zwolenników i przyjaciół w kołach pisarzy wszystkich kierunków. Co więcej, przeważnie już po polsku w czasach Zygmunta Augusta wygłaszane na sejmach mowy, nieraz improwizowane, nieraz starannie opracowywane, zwłaszcza te drugie, przyczyniały się w wydatnym stopniu do doskonalenia się polszczyzny, do umacniania jej roli w społeczeństwie, do rozszerzania jej wpływów.

Jak w sejmie, tak również w sądzie robi język polski postępy w w. XVI. Dość przypomnieć uchwałę sejmu krakowskiego z r. 1543, której mocą księgi sądowe pisane dotąd wyłącznie w języku łacińskim mogą być na przyszłość prowadzone już to w języku polskim, już to po łacinie. Wyłom to w przywilejach, jakie sobie łacina w Polsce zyskała, pokaźny. Przykład sądów państwowych oddziałal na sądy miejskie, w których na odmianę niemieczna panowała. Tym się tłumaczy, jak też liczebny wzrost ludności polskiej w miastach i ogólnymi zdobyczami języka polskiego, pojawienie się polskiego przekładu praw tzw. magdeburskich, w dwu opracowaniach, Bartłomieja Groickiego, podwójciego krakowskiego (Artykuły prawa majdeburskiego, które zowią *Speculum Saxonum*, 1558, z przydaniem książki pt. *Porządek sądów i spraw miejskich prawa majdeburskiego*, 1559) oraz Pawła Szczerbica, syndyka lwowskiego (*Speculum Saxonum* albo *prawo saskie i majdeburskie*, 1581, i *Jus municipale*, tj. *Prawo miejskie*, 1581). Popularność książek, zwłaszcza Groickiego, i liczne ich przedruki dowodzą, że i w praktyce sądów miejskich polszczyzna brała górę, aż w końcu nad językiem niemieckim całkowite odniosła zwycięstwo.

Przybierająca na sile polska ludność miast patrzyła z coraz większym niezadowoleniem na przywileje, jakie w dziedzinie języka posiadali Niemiec ich współobywatele. Powstawały na tym tle rozliczne spory, z których nie wszystkie doszły do naszej wiadomości. O ich istnieniu świadczą wyraźnie choćby tylko następujące w krakowskich aktach miejskich zapisane zdarzenia. W r. 1531 dopominają się polscy członkowie cechu olsterników, farbiarzy, kaletników i taszników o możliwość «urzędowego posługiwania się językiem polskim i przekładania pism przywilejowych z języka niemieckiego na polski, a także załatwiania wszystkich spraw cechu i wydawania rozporządzeń w języku polskim, aby mógł być rozumiany przez każdego».

Starsi cechu przekazują tę prośbę radzie miejskiej do rozpatrzenia, uzasadniając ją okolicznością, «że wielu jest w cechu takich, którzy nie znają języka niemieckiego, nie rozumiejących tego, o czym się wobec nich mówi w języku obcym, i że o wiele

lepiej by było, gdyby się wszystko załatwiało w języku polskim, ponieważ ten rozumiany jest przez wszystkich».

Uznana najwidoczniej za słuszną prośba została przychylnie załatwiona. W kilka lat później, w r. 1539, podobną prośbę wnieśli «młodszy majstrowie sztuki szewskiej», domagając się u władz miejskich, by tylko w języku polskim mogli na zebraniach cechu przedstawiać swoje sprawy. Ich wniosek również spotkał się u przełożonych miasta z życzliwym przyjęciem.

Większy rozgłos, aniżeli językowe utarczki na gruncie cechów się rozgrywające, zdobyła zorganizowana w r. 1536 przez rajców miejskich-Polaków akcja za usunięciem z kościoła Mariackiego kazań niemieckich i zastąpieniem ich kazaniem polskimi. Wobec sprzeciwów radnych niemieckich rzecz się oparła o króla Zygmunta Starego, który ją na korzyść Polaków rozstrzygnął, przeznaczając zarazem na niemieckie kazania sąsiedni kościół Św. Barbary. W akcji wspomnianej brał żywy udział między innymi rajca Hieronim Spiczyński w języku polskim rozkochany który w posłowie do drugiego wydania przyrodniczo-lekarskiej książki Stefana Falimirza (*O ziołach i mocy jich...*, 1534), ogłoszonego w r. 1542, wzywał współczesnych, iżby «język swój miłowali, wyszyszyli, bronili obcemu językowi nigdy go potłumiać nie dopuszczali».

W sposób podobny temu, w jaki poseł Szafraniec przeciw łacinie wystąpił w opisanym wyżej wypadku, reagowano nieraz w w. XVI na używanie łaciny we wzajemnym z sobą obcowaniu ówczesnych Polaków. Z odgłosem tego rodzaju reakcji w analogicznych warunkach mamy również do czynienia, w ułożonym przez W. Korczewskiego dziełku pt. *Rozmowy polskie łacińskim językiem przeplatane* (Kraków 1553). Jedną z osób biorących udział w prowadzonym tu na tematy religijne dialogu, Kmieć mianowicie, tak się odzywa do Studenta przemawiającego częścią po polsku, częścią po łacinie:

Synu, daj pokój łacinie, Wszak ci na potem nie zginie; Mów po polsku, wszakeś Polak, Co by eh ja też rozmiar prostak.

Niechęć do łaciny różne przybiera kształty w gronie szesnastowiecznych miłośników języka polskiego. Odmianą poprzedniego jej uzewnętrznienia jest podkreślanie, że w sprawach polskich po polsku się pisać winno. Czytamy więc u Orzechowskiego (*Quincunx*, 1564) następujące charakterystyczne, do czytelnika skierowane wyjaśnienie: «A jeśliż chcesz wiedzieć, czemu polskim językiem pisarz Quincunxa tego pisał Tobie, wiedz iż przeto, iż ón nie chce, aby go czytał Włoch, Niemiec, Francuz, Hiszpan; Polak Polakom pisał, co być Polszcę zdrowego widział [...]».

Z poglądem tego rodzaju spotykamy się nieraz w piśmiennictwie polskim XVI, a nawet jeszcze i XVII w. Podzielał go np. Ł. Górnicki, zaznaczając wyraźnie swoje

w tej mierze stanowisko, w pisany ok. r. 1589 traktacie politycznym pt. Droga do prawdziwej wolności⁵⁷: «Polak Polakom po polsku piszę, nie wydornie, nie z głębokiej nauki, nie abych pokazał rozum, który u mnie podły, ale aby się co w pośrodek podało podobnego do poratowania ojczyzny naszej».

W tę samą nutę prócz innych uderza również, dużo zresztą później, Wespazjan Kochowski. Oświadcza on wyraźnie w wierszu wstępnym do Epigramatów polskich (1674): «Polak piszę po polsku», stając w jednym rzędzie z tymi, co się śmiało opowiadali po stronie języka ojczystego, a przeciw łacinie w długotrwałych walkach o stworzenie polszczyźni jak najlepszych warunków rozwojowych.

Wśród nowych pozycji, jakie się językowi polskiemu w XVI w. już to trwale, już to przejściowo zdobyć udało, wymienić z kolei wypada szkoły, przy czym się zwłaszcza różnowiercze wysuwają na plan pierwszy. Dopiero teraz mianowicie uwzględniono język ojczysty w programach nauczania opracowanych z jednej strony przez Benedykta Herbesta dla szkoły parafialnej przy kościele Mariackim w Krakowie, z drugiej zaś przez Piotra Statoriusa (-Stojeńskiego) dla kalwińskiego najpierw, później ariańskiego gimnazjum w Pińczowie (1551 – ok. 1570).

Różne w szczegółach zgodne są co do roli, jaką językowi polskiemu w życiu szkolnym wyznaczają. I w jednym, i w drugim programie jest on narzędziem pomocniczym, służącym przede wszystkim do rychlejszego i lepszego przyswojenia sobie łaciny, która zgodnie z panującym powszechnie zwyczajem po starym także w tych obu szkołach królowała. By nabrać wyobrażenia, jaki udział miała polszczyzna w nauczaniu na ich gruncie realizowanym, warto przypomnieć zakres jej stosowania w gimnazjum pińczowskim: «W klasie więc najniższej (czwartej) uczono po polsku katechizmu, w dwu klasach następnych (trzeciej i drugiej) tłumaczono na język polski łacińskich autorów, przy czym w klasie drugiej przekładało się również po polsku obmyślane ćwiczenia na łacinę, w klasie najwyższej (pierwszej) natomiast obowiązywało tłumaczenie na język łaciński polskich listów i przypowiastek, a w niedzielę wysłuchanie objaśnienia listów św. Pawła po łacinie i w polskim przekładzie».

Podobnie było w szkole Mariackiej. A choć i tu, i tam spełniała polszczyzna tylko skromną rolę pomocniczą, fakt stałego zestawiania jej i porównywania z łaciną miał dla językowego wyrobienia uczniów duże znaczenie, ułatwiał opanowanie łaciny, ale też przyczyniał się do lepszego zrozumienia osobliwości własnego języka.

W tym samym mniej więcej stopniu, co szkoła pińczowska, uwzględniały język polski w nauczaniu szkolnym także inne szkoły różnowiercze (braci czeskich, luterzańskie, kalwińskie czy ariańskie). Wyjątek wśród nich stanowią pod tym względem luterzańskie gimnazja w Toruniu i Gdańsku, w których już w drugiej połowie XVI w. systematyczną naukę języka polskiego zaczęto – w Toruniu od r. 1568, w Gdańsku od r. 1589. Korzystali z niej przeważnie synowie Niemców, mieszkańców Prus Królewskich, politycznie i gospodarczo z Polską związanych, prócz nich również młodzi Polacy

z rodzin protestanckich pochodzący. Uczono w gimnazjum toruńskim i gdańskim nie tylko gramatyki, ćwiczone się nie tylko w mówieniu i pisaniu, ale też czytano polskich autorów. Nauczycielami polszczyzny byli tu już to Polacy (np. Jan Rybiński), już to Niemcy dobrze po polsku mówiący. Wszyscy oni propagowali język polski, a tym samym polską kulturę w słowie, niektórzy nadto w piśmie jako autorzy gramatyk, samouczków i słowników polskich. Nauka języka polskiego ze szkół tych, jak i z innych w jednym i drugim mieście, do których ją później wprowadzono, została usunięta dopiero w w. XIX. Chwalebna innowacja szkoły Mariackiej i szkół protestanckich w Polsce nie znalazła niestety naśladownictwa w szkołach katolickich, a z kurczeniem się i zanikaniem szkół przez protestantów kierowanych (z wyjątkiem Torunia i Gdańska) przechodziła na długie lata w stan zapomnienia.

Gdy mowa o przyjaciółach i orędownikach języka polskiego, nie sposób milczeniem pominąć niektórych członków rodziny Jagiellońskiej, przede wszystkim zaś króla Zygmunta Augusta, jednego z najbardziej zasłużonych miłośników polszczyzny. Wymienić więc w ich gronie wypada najpierw siostrę Zygmunta Starego, Elżbietę, późniejszą księżnę legnicką, która wedle stwierdzenia Jana Sandeckiego (przedmowa do *Żywotu Pana Jezusa Krysta*, 1522) osobliwie się kochała w piśmie polskim i dla jego rozmnożenia nie żałowała grosza. Zygmunt Stary był protektorem łaciny, co nie znaczy, iżby nie uznawał polszczyzny: w bibliotece swojej miał polskie książki i z polskiego się modlił modlitewnika. Jego dzieci wyraźnie już sprzyjały językowi ojczystemu. Przynajmniej o niektórych z nich można powiedzieć, że podobnie jak ich ciotka kochały się w piśmie polskim. Jadwiga (1513–1573), zamężna za księciem brandenburskim, chętnie się w polskich książkach rozczytywała. Dla niej, gdy jeszcze panną była, ułożył jej kapelan po polsku przewodnik do spowiedzi (ok. 1530). Jej – już żonie kurfirsta – poświęcił i ofiarował ks. Jerzy Argiglobin, poznańczyk, swój wykład nabożny pieśni *Salve Regina*. Znajdowało się wreszcie jej imię na karcie dedykacyjnej zniszczonego w czasie ubiegłej wojny w Warszawie druku-unikatu z r. 1545, zawierającego przydatne katolikowi pouczenia religijne. Młodsza jej siostra, Zofia (1522–1575), także za Niemca, księcia brunszwickiego wydana, tak samo jak i ona chętnie z polskimi książkami przestawała, a niektóre wzięła z sobą za granicę. Jedna z ksiąg polskich, do niej należących, rękopiśmienny wykład ewangelii sprzed r. 1556, dochowała się po dziś dzień w zbiorach biblioteki w Erlangen. W życzliwości okazywanej językowi polskiemu przewyższa wszystkich swoich najbliższych krewnych Zygmunt August. Gdzie tylko mógł, dawał pierwszeństwo polszczyźnie zarówno przed wkorzoną na dworze ojca łaciną, jak i przed językiem włoskim, który w otoczeniu jego matki rozbrzmiewał. Nie najmniej ważnym z motywów jego przywiązania do Barbary Radziwiłówny była możliwość porozumiewania się z nią po polsku. Przemawia za tym dowodnie wzmianka, jaką jej poświęcił w liście do Mikołaja Radziwiła w dniu 2 stycznia 1550 r. skierowanym: «Nie potrzeba do niej mówić po włosku i po łacinie, rozumie ona, gdy nasz poddany dla ojczyzny, dla nas i dla naszej sławy mówi». Z jego szczerą miłością nacechowanego stosunku do języka ojczystego i z płynących stąd dla jego rozwoju korzyści dobrze sobie zdawali sprawę współcześni, którzy niejednokrotnie

w słowach pełnych uznania i wdzięczności podnosili królewskie w tej mierze zasługi. Bodaj najlepiej dał im wyraz Ł. Górnicki w liście dedykacyjnym Dworzanina (1566) poprzedzającym a do Zygmunta Augusta skierowanym.

Wysiłki licznego grona szesnastowiecznych obrońców języka polskiego zmierzające do jego wywyższenia i uczynienia zeń organu zdolnego do zastąpienia łaciny, która do początku tego stulecia wszechwładnie panowała w polskim życiu kulturalnym i w wielu nadto dziedzinach życia społecznego, częściowo tylko zostały uwieńczone powodzeniem. Za ich sprawą uzyskała na ogół polszczyzna równouprawnienie z językiem łacińskim, gdzieś tam zdołała go nawet wyprzeć z pozycji, które dotąd zajmował. Z ich posiewu przy współdziałaniu całego zespołu różnorodnych czynników zrodził się polski język literacki i pierwsze przeszedł etapy swego rozwoju, w dziejach naszej kultury fakt pierwszorzędnej doniosłości. Wytrwała a mozolna i ofiarna praca znakomitych pisarzy, którzy w dobie, kiedy łacina zapewniała rozgłos w świecie, nie wzdragali się w ojczystym pisać języku, doprowadziła zarazem do wytworzenia się polskiego języka artystycznego, do czego się głównie przyczynili J. Kochanowski po stronie poezji, a S. Orzechowski, Ł. Górnicki i P. Skarga po stronie prozy. Trudności nie do przewyciężenia nastroczał tylko język naukowy. Na tym polu pomimo prób po temu podejmowanych nie udało się na razie podważyć stanowiska łaciny. W nauce i – dodajmy od razu – w nauczaniu włądała nadal niepodzielnie. Z ożywionej działalności miłośników języka polskiego w w. XVI szerzonej wynika jeszcze jedno zjawisko, które osobno wspomnieć trzeba, mianowicie rozwinięcie się poczucia poprawności językowej i świadome o nią zabiegi. Pomijając liczne pośredniej troski w tym kierunku dowody, przytoczyć warto przykład jej bezpośredni. Oto w r. 1597 wydaje Jan Januszowski sporządzone przez Jakuba Górskiego tłumaczenie *Bady pańskiej*, książki popularnej we Włoszech w drugiej połowie tego stulecia. Że jednak przekład, wedle słów samego tłumacza, został dokonany «językiem płockim, mazowieckim», podciągnął go Januszowski do poziomu polszczyzny literackiej, raziły bowiem wydawcę użyte przez Górskiego mazowieckie dialektyzmy. Uznane za objaw językowej niepoprawności musiały z tłumaczenia zniknąć zastąpione w druku przez formy w ówczesnym języku literackim dopuszczalne.

Przy wszystkich osiągnięciach, jakie przypadły w udziale miłośnikom i obrońcom języka polskiego w w. XVI, należy stwierdzić, że mają one charakter połowiczny. Nie zdołali wszakże zrealizować celu ostatecznego, do którego zmierzali, nie poszczęściło im się zastąpienie języka łacińskiego w każdej dziedzinie życia przez język ojczysty. A chociaż tu i tam język polski miejsce łaciny zajął, oparła mu się niestety szkoła, gdzie w dalszym ciągu łacina prym wiodła, w cień spychając język polski, a nawet stosując kary za jego używanie w murach szkolnych. Dopóki zaś w szkole obcy język się panoszył, nie mogło być mowy o walnym języka polskiego zwycięstwie, o pozyskaniu dlań tych praw, jakie w własnym kraju posiadać powinien, o otoczeniu go opieką, która by mu swobodny i normalny rozwój zapewniała. Zamiast tego szerzyła szkoła nadal kult łaciny, co nie pozostało bez niekorzystnego wpływu na

dalsze dzieje polszczyzny. Sprzymierzeńca naturalnego miała w tym dziele od dawna w duchowieństwie katolickim, nowego znalazła na dworze Stefana Batorego (1576–1586), który języka polskiego nie znał i po łacinie się z otoczeniem porozumiewał. Przykład króla i dworu wzmógł z powrotem znaczenie łaciny i jej nacisk na język polski spotęgował. Doprowadziło to za panowania jego następcy, Zygmunta III Wazy (1587–1632), do odzyskania przez język łaciński dawnej przewagi nad polszczyzną w życiu społecznym. Przy gorliwej pomocy szczególnie podówczas wpływowych kół kontrreformacyjnych, łacinie z oddaniem hołdujących, został w nim znowu język polski zepchnięty na plan drugi, a zdobycze jego obrońców z drugiej połowy w. XVI wydatnie pomniejszone.

III. POD ZNAKIEM WALKI Z MAKAKONIZMAMI

Wielowiekowe obcowanie z łaciną nie mogło się nie odbić na losach polszczyzny. Już w średniowieczu jesteśmy świadkami przenikania do języka polskiego licznych wyrazów łacińskich w mniej lub więcej zmienionej postaci, które nieraz rodzime słownictwo wzbogacały nazwami przedmiotów i pojęć dotąd w Polsce nieznanymi, niekiedy zaś je zubożały, wypierając z użycia rdzenne wyrazy polskie i na ich miejsce wchodząc. Wiek XVI do tych nie zawsze szczęśliwych i potrzebnych średniowiecznych nabytków wyrazowych dorzucił roje nowych. Przenoszono poza tym do języka polskiego łaciński szyk wyrazów, na wzór łaciński budowano konstrukcje składniowe. Wkraczając coraz głębiej i silniej w życie językowe oświeconych Polaków, stawała się z wolna łacina niejako drugim ich językiem ojczystym. Jej znajomość była znamieniem ogłady kulturalnej i dowodem jakiegoś takiego wykształcenia, popisywanie się nią przy każdej sposobności należało do dobrego tonu. Czasem wystarczyło zabłysnąć łacińskim słówkiem czy wpleceniem łacińskiego wyrażenia w polskie zdanie, by ten sam skutek osiągnąć. Codzienne z obu językami współzycie stwarzało naturalne i podatne warunki do powstania niekiedy bez jakichkolwiek ubocznych celów polsko-łacińskiej językowej przeplatanki o różnym wzajemnym obu elementów ustosunkowaniu, czyli do rozwinięcia się tzw. stylu makaronicznego.

Makaronizowanie w w. XVI nie jest zjawiskiem częstym. Zdarza się wprawdzie tu i ówdzie u bardzo skądinąd starannych i świetnie językiem polskim władających pisarzy, szeroką jednak falą rozlało się dopiero w wieku następnym. Xie szukając daleko szesnastowiecznych przykładów, dostrzec można posługiwanie się stylem makaronicznym nawet u J. Kochanowskiego, dość przypomnieć choćby tylko dwa jego listy: do Stanisława Fogelwedera z r. 1571 lub do Jana Zamoyskiego, Odprawę posłów greckich (1578) poprzedzający. Wypadek w tym zakresie szczególny stanowi utwór J. Kochanowskiego zatytułowany *Carmen macaronicum* (Wiersz makaroniczny) ⁷¹. Mamy w nim bowiem do czynienia z makaronizowaniem polegającym na przydawaniu łacińskich końcówek do wyrazów polskich poza tym z wyrazami czysto łacińskimi

wymieszanych. Używany niekiedy w literaturze nie miał ten rodzaj makaronizowania dostępu do języka mówionego.

Rzadko na ogół w w. XVI spotykane nie budzą makaronizmy żywszych sprzeciwów ze strony współczesnych. W szesnastowiecznych wypowiedziach na temat języka polskiego brak głosów je potępiających. Stąd wnosić wolno, iż były utrzymane w granicach na tyle znośnych że ich nie atakowano. Może zresztą i gorszo się nimi w rozmowach języka narodowego zwolenników, nie dano jednak wyrazu w piśmie ich piętnowaniu. Gdy się jednak w w. XVII stały po prostu językową klęską społeczną, wzięto się ostro do wytykania ich szkodliwości, szpetoty i bezsensu, do otwartej z nimi walki. Przystąpiono do niej wówczas, gdy zdano sobie sprawę z tego, jakie z ich strony grozi niebezpieczeństwo i językowi polskiemu, i polskiej kulturze. Inaczej, niż to było w w. XVI, skąpo się teraz przedstawia zespół ludzi, których wznuszała rosnąca niedola języka ojczystego. Przy rosnącym zaś obniżaniu się poziomu piśmiennictwa, przy powszechnym, z postępem czasu się powiększającym upadku smaku i rozkładzie narodowej kultury głos ich jednak do opamiętania w sprawach języka wzywający był przez długie dziesiątki lat głosem wołającego na puszczy.

Zanim do rozprawy z makaronizmami doszło, czego początek dopiero na drugie ćwierćwiecze XVII stulecia przypada, mamy do czynienia w jego początkach z podobnymi jak w wieku poprzednim objawami troski o wydoskonalenie języka ojczystego, o niedopuszczenie do obniżenia dotychczas osiągniętego poziomu, co więcej, o jego podniesienie. W tym też celu «na to się puścił» Sebastian Petrycy, «aby polskim językiem dla pożytku pospolitego przykładem inszych narodów, którzy swym językiem pisma wiele filozofów mają, naukę Arystotelesa o rządzie spraw ludzkich na świat podał» (Polityki Arystotelesowej część pierwsza, 1605). Uczynił to w imię naczelnej zasady, której na równi z innymi staropolskimi miłośnikami ojczystej mowy hołdował, a którą w tych wyraził słowach (Polityki Arystotelesowej część wtóra, 1605, s. 342): «Nie przystoi językiem gardzić, w którym się kto urodzi, owszem, to czyni ozdobę ojczyzny i chwały: język swój rozszerzać co nawięcej, aby tak mógł być dostateczny, jako u inszych narodów». Nie zrażając się więc trudnościami, jakie przy nie istniejącym jeszcze polskim słownictwie filozoficznym przekładanie dzieł filozoficznych nastęrczało, pokusił się o przyswojenie językowi polskiemu trzech obszernych Arystotelesa utworów, prócz wzmiankowanej już Polityki, także Ekonomiki (1601) tudzież Etyki (1618). Opracowanie tych przekładów przełamało uprzedzenie, jakiemu w w. XVI hołdowano, że się język polski nie nadaje do traktowania w nim zagadnień z dziedziny filozofii. Ich waga polega poza tym na rzuceniu w nich podstaw pod polską terminologię filozoficzną

Kiedy Petrycy dokładał starań, by język polski uczynić zdolnym do snucia w nim filozoficznych dociekań i do wchłonięcia zdobyczy greckiej myśli filozoficznej, w innym kierunku poszły cośkolwiek późniejsze, przez Piotra Kochanowskiego podjęte zabiegi o wzbogacenie polszczyzny. W szlachetnym zamiarze, «aby się pokazało, że język nasz nie jest nad insze uboższy», przełożył on dwa arcydzieła włoskiej

szesnastowiecznej poezji epickiej: Jeruzolimę wyzwoloną Torkwata Tassa oraz Orlanda szalonego Ludwika Ariosta. Przekład Jeruzolimy wyzwolonej trzykrotnie w w. XVII wydawanej (pierwsze wyd. 1618) wprowadził w polski język poetycki oktawę, zwrotkę dotąd mu właściwie nie znaną, pomnożył go poza tym nowymi obrazami, niezwykłymi zestawieniami wyrazów, urozmaiconym słownictwem, szczęśliwymi tu i ówdzie nowotworami. Spolszczony przez Piotra Kochanowskiego utwór Tassa oddziałł w znacznym stopniu na późniejszą polską poezję, a tym samym i na jej język. Nie da się tego powiedzieć o tłumaczeniu poematu Ariosta z tej bardzo prostej przyczyny, że dopiero z samym końcem w. XVIII (1799) przynajmniej częściowo zostało ogłoszone drukiem. Było wprawdzie i przedtem czytane w dokonanych ręką odpisach, nie mogło mu to wszakże zjednać popularności ani zdobyć wpływu, który by dla dziejów polszczyzny miał znaczenie.

Jeszcze nie bardzo sobie zdając sprawę z grożącego językowi polskiemu niebezpieczeństwa w postaci gwałtownie się pieniających makaronizmów, a jednak o czystość języka literackiego się troszcząc, zwrócił się Stanisław Grochowski (Toruńskie nocy, 1609) z naganą, ostrą ironią zaprawioną, do nie znanego nam dzisiaj poety, a raczej wierszoroba, Kaspra Danowskiego, za to, że w swój również nam nie znany utwór pozwolił sobie wciągnąć szereg dialektyzmów czy archaizmów. Poczucie panującej pod koniec w. XVI i na początku w. XVII normy językowej i świadomość jej społecznej ważności, jak również dbałość o utrzymanie poziomu, na który się wzniósł język literacki, nakazały Grochowskiemu potępić językową swawolę Danowskiego. Z tych samych względów, o czym już mówiliśmy, wygładził Jan Januszowski język Jakuba Górskiego przed wydaniem jego przekładu Bady pańskiej (1597). Oba te zjawiska w istocie rzeczy jednakowego są rodzaju: jednakowa wywołała je potrzeba i jednakowemu służyły celowi.

Równoległe z postęпами, jakie czynił język polski w polskim życiu społecznym w drugiej połowie w. XVI i w pierwszych latach w. XVII, robiły postępy także i makaronizmy. Używane zrazu głównie w języku mówionym, rozprzestrzeniły się rychło, z każdym dziesiątkiem lat przybierając na sile, w języku pisanim, przy czym bardziej im ulegała proza aniżeli poezja. Nie zwracano na nie z początku uwagi, dopiero gdy się na dobre w języku polskim rozgościły, zaniepokojono się nimi, zaczęto ich szkodliwość uznawać i przeciw nim działać. Dał hasło do walki z makaronizmami Grzegorz Knapski, autor wielkiego słownika polsko-łacińsko-greckiego (1621). W przedmowie, którą poprzedził swe pożyteczne i cenne dzieło, mające wszakże służyć przede wszystkim pogłębieniu znajomości łaciny w Polsce, bardzo surowo je osądził, wzywając współczesnych do unikania tych obrzydliwych – jak się wyraża – polsko-łacińskich zlepków. Posługiwanie się nimi, zdaniem Knapskiego, nie jest bynajmniej dowodem ogłady czy wykształcenia, używający ich «są na wpół barbarzyńcami i tylko jeden i drugi język psują». Opowiada się też Knapski przeciw licznym w języku polskim wyrazom obcym: «... gdyby te wyrazy policzyć, wypełniłyby one trzecią, a może i większą część naszego słownictwa. Takiego zaś stanu rzeczy nie należy znośić

obojętnie tym bardziej, że wielu robi to nie z potrzeby i z braku odpowiednich wyrazów polskich, lecz z czystej chęci popisywania się czymś nowym».

Dla zapobieżenia złemu postanowił w swoim słowniku «uchwycić wychodzące z użycia wyrazy rodzime i mowę naszą uwolnić od barbaryzmów, które ją przemocą chęcią wyprzeć z dawnych stanowisk, a tym samym [...] ją umocnić na ziemi ojców i przyozdobić we właściwą jej piękność».

Pragnąc się bowiem przez swój słownik przyczynić do umocnienia poprawnej łaciny w Polsce, nie zapominał Knapski o języku ojczystym. Chciał zarazem i do wyrównania jego strat dopomóc.

Wystąpienie Knapskiego żadnego jednak nie odniosło skutku. Nie odnieśli go także późniejsi makaronizmów przeciwnicy: Krzysztof Opaliński (*Satyry*, 1650), Andrzej Maksymilian Fredro (*Przysłowia mów potocznych*, 1658) i Wacław Potocki (*Moralia*, 1688). Poza makaronizmami gromi Opaliński wszelakiego rodzaju solecizmy, czyli błędy gramatyczne, fałszywy szyk wyrazów oraz barbaryzmy, tj. wykroczenia przeciw poprawności językowej. Fredro ogranicza się tylko do makaronizmów i słownictwa, podkreślając bogactwo rodzimego materiału wyrazowego i łatwość tworzenia wyrazów nowych. Dla jej zilustrowania przytacza kilkanaście przykładów przeważnie nieudanych, ale nie o to chodzi. Ważne jest, że się w pogłębiającym w w. XVII upadku polszczyzny pojawiał od czasu do czasu pisarz, który jak Fredro do nieczynienia krzywdy językowi ojczystemu nawoływał. Ogólne zepsucie smaku artystycznego, jakie w w. XVII obserwujemy, odbić się musiało i odbiło się niekorzystnie także na stylu pisarskim. Napuszona sztuczność zastąpiła prostotę i naturalność, którą nie bez trudu najlepsi pisarze złotego wieku zdobyli. Zagadnieniu stylu, jaki być powinien, poświęca szereg spostrzeżeń i pouczeń Stanisław Herakliusz Lubomirski (*Rozmowy Artaksesa i Ewandra*, 1683). Przy sposobności i on również, choć nie tak silnie jak inni, ujemnie ocenia używanie makaronizmów i do ich unikania zachęca.

W porównaniu z wiekiem XVI niezmiernie skromnie wygląda gromadka pisarzy w. XVII okazujących zainteresowanie dla spraw ojczystej mowy i niepokój o jej przyszłość. Liczne w w. XVI szeregi obrońców polszczyzny wyraźnie przeredły z nastaniem nowego stulecia. Petrycy, Grochowski, Piotr Kochanowski, Knapski w pierwszej jego połowie, a Opaliński, Fredro, Lubomirski i Potocki w drugiej – to najważniejsi ich przedstawiciele. Należy do nich jeszcze Szymon Starowolski, który w łacińskiej książeczce pt. *Declamatio contra obtrectatores Poloniae (Odpowiedź potwarcom Polski, 1631)*, napisanej dla odparcia oszczerstw na Polskę i Polaków rzucanych, sporo miejsca poświęcił językowi polskiemu. Dotknięty opinią krążącą wśród nieżyczliwych Polsce cudzoziemców, «że język nasz jest twardy w wymowie i przykry dla ucha», dowodzi niesłuszności tego poglądu; zdaniem Starowolskiego przeciwnie: «Nasz język [...] posiada zaiste tak wielkie dostojęństwo i z bogactwem połączoną godność, że z językiem greckim i łacińskim i z wszystkimi kulturalniejszymi językami pod względem wytworności, blasku i doboru wyrazów, piękności periodów

i w ogóle całej ozdoby mowy może współzawodniczyć».

Równie zdecydowanie rozprawia się Starowolski z mniemaniem, że język polski szczególnie wiele wyrazów zapożyczył od Niemców, i z wysnuwanymi stąd wnioskami historyczno-kulturalnymi. Nie przeczy obecności wyrazów obcych w języku polskim, przypomina jednakowoż, że i inne języki, także niemiecki, nie są od nich wolne. Przeznaczona dla zagranicy książeczka Starowolskiego i dlatego po łacinie ułożona spełniła dobrze swe zadanie, pokazując bezstronnemu czytelnikowi, jak bezpodstawne, powierzchowne i niepoważne były zarzuty, którymi złośliwie obarczano naród polski i jego mowę.

Językowi ojczystemu oddany pisze Starowolski chętnie po polsku, w polskim języku liczne ogłasza dzieła i gdzie może, w kręgu swej działalności, propaguje polszczyznę. Z myślą o mieszkańcach wsi i miasteczek układa zbiory kazań polskich, domagając się od kaznodziejów nie tylko, «aby nie prawili kazania całą godzinę, jako czyniwali przedtym pospolicie, ale także by w nich nie szafowali łacińskimi przytoczeniami z Pisma Św. i doktorów Kościoła; winni poprzestać na krótkim ich streszczeniu i jak kazania same podać je «słowy polskimi i do wyrozumienia snadnymi». Tkwi w tym żądaniu Starowolskiego jeszcze jeden objaw walki w obronie języka polskiego tym razem na gruncie wewnętrznym prowadzonej.

Obok coraz to bardziej panoszącej się łaciny pojawia się w w. XVII nowe niebezpieczeństwo zagrażające polszczyźnie. Jest nim język francuski. Pod wpływem mianowicie królowych-Francuzek, Marii Ludwiki żony najpierw Władysława IV (rządził 1632–1648), a po jego śmierci Jana Kazimierza (rządził 1648–1668), następnie zaś Marii Kazimiery, żony Jana Sobieskiego (rządził 1674–1696) oraz ich dworskiego otoczenia zaczęła się u nas szerzyć francuszczyzna. Znajomość francuskiego obyczaju i języka stała się oznaką ogłady i obycia w świecie. Popisywano się nią też przy każdej możliwie sposobności. Francuskiej modzie ulegały przede wszystkim warstwy wyższe, w pierwszym rzędzie kobiety które zarówno na zewnątrz w salonach, jak i w domowym życiu szczególnie chętnie mówiły po francusku, język polski za prostacki poczytując. Za pośrednictwem entuzjastów i entuzjastek francuszczyzny przeniknął do języka naszego już w XVII w. długi szereg wyrazów francuskich. Obok językowych przeplatanek polsko-łacińskich wchodzi teraz w użycie także polsko-francuskie, równie jak tamte szkodliwe. Zajęci walką z makaronizmami przede wszystkim polsko-łacińskimi, dość długo nie zwracali na tamte uwagi siedemnastowieczni miłośnicy języka polskiego. Pieniły się więc czas jakiś swobodnie. W końcu, gdy już głęboko zapuściły korzenie, dostrzeżono, że i przeciw nim należy wystąpić. Nie od razu jednak zdobyto się na ich potępienie. Ośmiesział je już wprawdzie W. Potocki (Moralia 1688–1695, wiersz pt. Staremu język odmienić trudno), sarkano więc na nie tu i tam w środowisku ludzi o własny język ojczysty dbałych. Nie na wiele się to jednak na razie zdało. Ostateczną i zwycięską z nimi rozprawę przeprowadzono dopiero mniej więcej w sto lat później.

Stopniowe obniżanie się poziomu kultury narodowej we wszystkich(jej

dziedzinach, jakie obserwujemy w ciągu w. XVII, doprowadziło pod jego koniec do zwyrodnienia wraz z literaturą także jej narzędzia, tj. języka. Zatrata poczucia dobrego smaku pociągnęła za sobą nieliczenie się z żadnymi w języku hamulcami, toteż z daleko idącą swobodą zaczęto się z nim obchodzić i całkowitą coraz powszechniej darzyć go obojętnością. Okres czasów saskich (1697–1764) pogłębił językową anarchię i spowodował, że się zupełnie przestano losem polszczyzny interesować. Jest rzeczą nad wyraz znamioną brak jakichkolwiek na ten temat wypowiedzi przez pierwszych bez mała lat pięćdziesiąt w. XVIII. Ani się jeden w tym czasie nie podniósł głos, który by się za językiem polskim ujął, na jego niedolę wskazał i do naprawy wezwał. Kiedy zaś w wydanym w r. 1756 przez ks. Benedykta Chmielowskiego tomie pierwszym Nowych Aten, encyklopedii niesamowitych bredni pełnej, i o języku polskim znalazł się rozdział, poświęcił go autor wyrazom z języków obcych przyjętym z łacińskimi na czele. Bezskrytyczny zapożyczeń łacińskich wielbiciel, przy tym i makaronizmów zwolennik – uzasadnia rzekomą konieczność ich stosowania i ich rzekome piękno chwali: gorszący przykład bezmyślnego i niewolniczego hołdowania złym obyczajom, jakie się od lat przeszło stu do języka polskiego wdarały i jego zwartość zniszczyły.

Wyższością łaciny nad językiem polskim tłumaczy Chmielowski przodujące jej stanowisko w życiu publicznym Polski dawniejszej i jemu współczesnej. Na jego usprawiedliwienie powiedzieć trzeba, że w poglądach swoich roli języka łacińskiego w naszym kraju dotyczących nie był wcale odosobniony, podzielały go setki i tysiące ludzi jego pokolenia, tych przynajmniej, co przez szkołę ówczesną przeszli. Szkoła zaś, zwłaszcza przez katolickich duchownych kierowana, od lat wielu była krzewicielką uwielbienia dla łaciny i lekceważącego stosunku do języka ojczystego. Język łaciński władał w niej niepodzielnie. W dobie Chmielowskiego, a zapewne także i dość długo przed nim, nawet dla celów pomocniczych, jak to w szkołach protestanckich bywało, nie wolno było polszczyzną się posługiwać. Za użycie jednego polskiego słowa w szkole i w pozaszkolnym z kolegami obcowaniu surowo karano. Znany pamiętnikarz owych czasów, Jędrzej Kitowicz (zm. 1780), opisuje, w jaki sposób dochodzono, czy przypadkiem nie został przekroczony nakaz, «aby student do studenta nie ważył się nigdy i nigdzie, osobliwie w stancjach, po polsku gadać. Używano do tego celu kawałka deszczułki «na kształt tabliczki półciartkowej z literami *N. L.*, to jest nota linguae. Tę notę najpierw profesor oddał któremu studentowi z umiających lepiej łacinę i zakredytowanych u profesora z rozkazem, aby usłyszawszy którego mówiącego po polsku, choćby tylko słowo jakie, natychmiast mu oddał tę notę jako znak przełamanego zakazu. Nie wszyscy, którym język nieostrożny notę do ręki wsadził, byli za to karani, owszem, żaden nie był karany, tylko ten, u którego nota albo obiadowała, albo nocowała; albowiem profesor, skoro wszedł do szkoły, po zwykłej modlitwie do Ducha Św. najpierwsze pytanie czynił do studentów: *quis habet notam linguae?* Ten, który ją ostatni miał, z trudną się odezwał na pytanie profesora, ale który miał ją przed ostatnim, natychmiast uwiadomił profesora, któremu ją oddał, a tak ostatni za wszystkich innych otrzymał karę. Za obiad – kilka placent ^w rękę, za noc – kilka plag w siedzenie. Dlatego

studenci z tą notą tak się uwijali, chcąc ją co prędzej pozbyć jeden do drugiego, jak z złą monetą.

W tych warunkach była szkoła, poza tym na bardzo niskim poziomie umysłowym stojąca, rozsadnikiem nie tylko łaciny, ale i pseudowykształcenia. Nie darmo już Krzysztof Opaliński twierdził (Satyry, 1650), że nieuctwo ze szkół płynie, «bo jako sami nic nie umieją, tak i drugich uczą».

Wróćmy wszakże na chwilę jeszcze do Chmielowskiego. Omówiwszy pokrótce prócz wyrazów łacińskiego pochodzenia jeszcze i z języka niemieckiego zapożyczone, zauważa ks. Chmielowski nie bez jakiegoś dziwnego jakby zadowolenia: „A dopiero francuskich terminów w dyskursach familijnych i w listach, w denominacji strojów, materyi, mody jest bez liczby u Polaków”. Rzeczywiście w dobie, kiedy żył i swoje Nowe Ateny pisał Chmielowski, wielkim wzięciem cieszył się w Polsce język francuski, a jego oddziaływanie na język polski już mniej więcej stuletnią miało za sobą przeszłość. Wiek XVIII do poprzednich francuskich zapożyczeń wyrazowych dorzucił nowe. Nie dość na tym. Na wzór łacińsko-polskich przeplataneek językowych pojawiły się i przyjęły francusko-polskie makaronizmy, jeszcze bardziej komplikując i tak już skomplikowaną i ciężką sytuację języka polskiego w własnym kraju.

Tymczasem przerwana na lat kilkadziesiąt walka z makaronizmami odżywa z powrotem, wchodząc w stadium ostateczne i zwycięskie. Przygotowała ten etap walki reforma szkolna Stanisława Konarskiego (1700– 1773) i związane z nim odrodzenie smaku estetycznego. Jego książka pt. *De emendandis eloquentiae vitiis* (O poprawie wad wymowy, 1741), w której stanowczo i energicznie uderzył na panujący w literaturze jego czasów napuszony styl i tak samo szpetne makaronizmy, uświadomiła kołom literackim i naukowym istotę błędów popełnianych przeciw prostocie i jasności stylu oraz czystości języka, jak również konieczność ich unikania. Śmiałe napiętnowanie zwyrodnień języka i stylu, przez Konarskiego dokonane, dodało odwagi podobnie jak on na ten temat myślącym i zachęciło do zabrania głosu w sprawach przez niego poruszonych. Zganił więc Polaków za używanie makaronizmów Michał Abraham Troć w przedmowach do swoich słowników (1744 i 1764) i przestrzeganie czystości języka i prostoty stylu zalecał. W ślady Konarskiego idąc wydał Franciszek Bohomolec w r. 1752 przeciw makaronizmom skierowaną broszurę pt. *De lingua Polonica colloquium* (Rozmowa o języku polskim); rozszerzoną i po polsku opracowaną ogłosił ją następnie w zbiorze *Zabawki poetyckie niektórych kawalerów Akademii Szlacheckiej Warszawskiej* w r. 1758. Uwagi swoje, spostrzeżenia i osądy dotyczące makaronizmów, wyrazów obcych i obowiązku troskliwego czuwania nad czystością języka ojczystego przystroił autor w formę odbytej w świecie umarłych rozmowy, w której biorą udział Jan Kochanowski, Samuel Twardowski i Makaroński, postać fikcyjna, przedstawiciel zwolenników makaronicznego i kwiecistego stylu mówienia. Przekonany argumentami Kochanowskiego i Twardowskiego wysuniętymi przeciw pladze makaronizmów tak łacińskich, jak francuskich, kapituluje w końcu Makaroński i w te się odzywa słowa do Kochanowskiego: «ITważając wszystkie twoje dowody na

zbitcie makaronizmów przełożone, poznaję, że słusznie dzisiejsi Polacy niektórzy, między którymi niemało znajduje się i panów najprzedniejszych, rzucają się do właściwej polszczyzny i od słów cudzoziemskich oczyścić ją usiłują»

Odpowiada na to Kochanowski: «Tego wszyscy, którzykolwiek-sławę narodu polskiego kochają, życzyć powinni. Jakoż mam nadzieję, że wkrótce Polacy tej niechwalebnej słów żebraniny poprzestaną, jeśli – jako mówisz – już się i panowie od niej odrażają».

Większe bez porównania znaczenie, aniżeli drukowane Konarskiego i Bohomolca przeciw makaronizmom wywody, miało praktyczne w szkołach pijarskich i jezuickich wcielanie głoszonych przez nich w tej sprawie poglądów. Reforma szkolna Konarskiego wprowadziła oficjalnie do szkół pijarskich język polski. Przyznała mu wprawdzie tylko rolę języka pomocniczego, lecz poza tym w tę samą wzięła go opiekę, co i łacinę. Nakazywała więc przy posługiwaniu się językiem polskim baczyć, by go w poprawnej postaci stosowano, by starannie odróżniano wyrazy dobre od mniej właściwych, by unikano makaronizmów. Według pijarskich wzorów zreformowali niebawem swoje szkoły jezuiti. I w nich jeszcze język polski nie był odrębnym przedmiotem nauczania, uwzględniano go przecież szerzej niż u pijarów przy uczeniu innych przedmiotów, tak że w końcu stał się głównym językiem wykładowym. Wyłączne panowanie w szkole zapewniła polszczyźnie dopiero Komisja Edukacji Narodowej (1773–1794). W liczbie zasług Komisji Edukacji Narodowej nie najpośledniejsze miejsce zajmuje przyznanie w nauczaniu szkolnym uprzywilejowanego miejsca językowi ojczystemu i nauce gramatyki. Stanowisko, na jakim w tej mierze stanęła, ilustruje znakomicie następujące jej zarządzenie językowe z r. 1774 dla szkół wojewódzkich (tj. średnich) przeznaczone: «Gramatyka względem uczniów jest pierwszą logiką, względem nauczycieli nauką wynikającą z doskonałej logiki. Bez gramatyki nie można dobrze udzielać drugim myśli swoich, nie można zatem czysto, dobrze mówić, pisać. Ci, którzy do szkół chodzą, wyjdą na świat. Służyć będą Ojczyźnie w sądach, radach, sejmach, będą składać towarzystwa posiedzeń prywatnych. Wszędzie trzeba mówić, wszędzie do nieprzytomnych pisać. Oto jest, przez co gramatyka ma prowadzić i służyć do celu zamierzonego edukacji.

W nauce gramatyki pierwsze staranie będzie około języka ojczystego, toż dopiero około łacińskiego. [...]

Uczniowie odtąd w szkołach polskich językiem mówić będą. Doświadczenie przekonało, iż mówiąc po łacinie, młodzież nabierała złego sposobu mówienia. W dalszych klasach może mieć miejsce ćwiczenie w języku łacińskim z tego jednego względu, że przy nieumieniu innych przypadnie czasem z cudzoziemcem mówić po łacinie: i ten jeden rzetelny być może tego używania pożytek».

Przepis nakazujący posługiwanie się językiem polskim jako wykładowym obowiązywał też we wszystkich innych szkołach Komisji Edukacji Narodowej podlegających, a więc zarówno parafialnych, jak i głównych, czyli wyższych,

rozszerzając zakres jego wpływów w życiu społecznym i nowego przysparzając mu znaczenia.

Dopuszczenie języka polskiego do szkół w węższym czy rozleglejszym zakresie i staranną otoczenie go pieczołowitością wyrabiało w młodym pokoleniu miłość do mowy ojczystej i o jej poziom dbałość. Wychowawcy młodzieży tego pokroju co Konarski i Bohomolec, czy ich śladami idący Dawid Pilchowski, Ignacy Włodek lub Filip Nereusz Golański słowem i piśmem się przyczyniali do podniesienia kultury języka polskiego i przywrócenia mu dawnej jego świetności. Pilchowski, który w r. 1767 wydał przekład Salustiuszowej historii wojen z Katyliną i Jugurtą, wyłuszcza w przedmowie zasady, jakimi się tłumacz kierować powinien i jakie on sam stosował. Co się specjalnie języka tyczy, należy na jego czystość szczególniejszy położyć nacisk, poniechać makaronizmów, a w razie potrzeby stworzyć słowa nowe i niektóre ze starych ożywić, «bo jeśli odrzuciwszy, jako słuszno jest, dzikie i przywoźne makaronizmy, słów nowych, natężenie polskie mających nie dostarczymy, gdyż do tego trzeba powszechnej wziętości, a starożytnych też makaronizmami przez lat wiele zagrzebionych wskrzeszać nie zechcemy, musim koniecznie zubożyć ojczysty język i do tej szczupłości przyprowadzić, iż onym obce księgi, na czym narodowi naszemu wiele zależy, dostatnie tłumaczyć nie podolamy».

Zgadza się z tym poglądem Włodek (O naukach wyzwolonych w powszechności i szczególności, 1780), stwierdzając: «Do zaszczepienia tedy nauk najpierwsza potrzeba jest doskonałość języka ojczystego. Bo naprzód przynależy, aby tych nauk prawa, sposób, doskonałość była wyłożona dobrze, co bez języka doskonałego być nie może».

Dla osiągnięcia tego celu konieczną jest rzeczą w języku ojczystym się ćwiczyć i za jego pośrednictwem nauk dochodzić. Mówi dalej Włodek

Kto przez ojczysty język do umiejętności dąży, ten idzie drogą królewską, otwartą, bitą i bezpieczną, kto przez angielski i francuski do tego końca zmierza, idzie manowcami (jako się wyżej powiedziało) i omylnymi ścieżkami; pierwszego podróż człowieka rozumnego, drugiego zwierzętom głupim podobna, jako psy pospolicie zwykły czynić, że nigdy gościńcem nie idą, ale tam i sam po polach się wałęsają, nauczyciel tedy powinien się trzymać tej drogi bitej, to jest w początkach samych uczenia przez język ojczysty prowadzić uczniów do umiejętności.

Stanowisko Włodka dokładnie odpowiada zmianom, jakie w stosunku do języka ojczystego na gruncie szkolnym zaszły, dając zarazem świadectwo pogłębiającemu się w społeczeństwie zrozumieniu jego ważności w życiu narodu.

Zachowanie czystości i prostoty w języku tudzież unikanie błędów gramatycznych i stylistycznych zaleca Golański w książce O wymowie i poezji (1786): «Toku właściwej mowy istotnie należy przestrzegać, żeby rozumiała, dobra i jasna była». Źródło błędów widzi on nie tylko w ujemnym wpływie języków obcych, ale także w różnego rodzaju prowincjonalizmach. By im skutecznie przeciwdziałać, radzi

trzymanie się prawideł gramatyki: «Znajomość dobrej gramatyki sprawi używanie dobrych wyrazów, jako znajomość dobrej logiki – dobre myśli». Oczywiście jest rzeczą, że wykroczenia przeciw poprawności językowej zdarzały się częściej w szkołach prowincjonalnych niż warszawskich, częściej w prowincjach językowo mieszanych niż rdzennie polskich. Nic też dziwnego, że w środowisku litewsko-białoruskim zrodził się pierwszy polski poradnik językowy. Ułożył go Mikołaj Dudziński, profesor poetyki w szkołach narodowych mińskich, i wydał w Wilnie w r. 1776 pt. Zbiór rzeczy potrzebnych do wydoskonalenia się w języku służących. Nieduża ta książeczka dowodzi, jakie kręgi zatoczyła w drugiej połowie XVIII w. świadoma kultura językowa i podejmowane dla jej ugruntowania wysiłki.

Mówiąc o zasługach szkoły dla podniesienia języka polskiego z upadku, w jaki się w epoce saskiej pogryzył, nie sposób nie wspomnieć Onufrego Kopczyńskiego, autora Gramatyki dla szkół narodowych (3 części, 1778–1783), mającej ułatwić młodzieży prawdziwe i gruntowne poznanie własnego języka, rozbudzenie dążności do jego wydoskonalenia, wzniesienie szczerego ku niemu przywiązania. Starano się zaś wpoić w uczniów umiłowanie mowy ojczystej nie tylko przy nauce języków, gdzie najczęściej było po temu sposobności. Tym się tłumaczy obecność uwag o języku polskim w podręczniku Historii nauk wyzwolonych, jaki do użytku korpusu kadetów z języka francuskiego przełożył i w r. 1766 wydrukował ich komendant, Adam Kazimierz Czartoryski. W uwagach tych, przez tłumacza dodanych, a na Górnickim ściśle wzorowanych, wyjaśnia ich autor, skąd poszło zaniedbanie języka polskiego i co należy przedsięwziąć, by je naprawić. I tutaj, jak wiele razy gdzie indziej, spotykamy się z potępieniem makaronizmów i «wszelkich języków obcych używania jako sławie narodu przeciwnego i uwłaczającego».

W szkole i poza jej bezpośrednim zasięgiem budziła się i rosła świadomość językowa społeczeństwa polskiego w dobie Oświecenia. Prócz związanych z nią wychowawców młodzieży sycili ją i rozwijali pisarze i publicyści ostro na zacofanie językowe, na ponizienie języka polskiego uderzający i wszelkich dokładający starań, by mu świetność zygmunto-wskich czasów przywrócić, by go jak najbardziej i pod każdym względem wydoskonalić. Przewodzą im Ignacy Krasicki i Adam Naruszewicz. Krasicki, wychodząc z założenia, które w tych ujął słowach: «Wzgarda kraju i języka własnego znaczy lekkość umysłu i serce nieprawe» (Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki, 1776), służy sprawie języka ojczystego całą swoją twórczością literacką. Niezależnie od niej dwukrotnie zabiera głos w obronie polszczyzny na łamach Monitora (1765 i 1766), nadto w Doświadczyńskim się żali na okazywaną jej obojętność. Upomina więc Krasicki (Monitor, 1766): «Nie wstydzmy się języka naszego! Jeżeli się zdaje być mniej wdzięcznym, są grubsze i bez porównania gorzej brzmiące, a przecież to nie odraziło od udoskonalenia onych. Jeżeli języki inne są w pospolitym używaniu, nasza rzecz i polski wsławić».

Rozbudzeniu miłości języka ojczystego oraz wskazaniu dróg do jego poprawy

i wzbogacenia poświęcone oba wspomniane artykuły. Jak zaś bardzo doceniał Krasicki rolę języka w życiu społecznym, wynika z jego własnych słów: «Zaszczyt i sława wzbijające się w doskonałość narodu zawždy od kształcenia i rozszerzania rodowitej mowy zawisła» (Monitor, 1765).

Powody smutnego położenia, w jakim się język polski znalazł w jego czasach, wymownie tłumaczy Naruszewicz (K. K. Tacyta Dzieła wszystkie, 1772): «Samiśmy winni temu, że nasz język poszedł w zaniedbanie tak dalece, że rzadko kto dobrze onym mówi w potocznych rzeczach, dopieróż pisze co poważnego w wolnej, czyli wiązanej mowie. Umiemy to tylko z języka naszego, cośmy się w domu, w szczupłym bardzo osób do nas należących, piastunek, służalców albo czeladnej prostoty obrębie, nauczyli. [...] W palestrach koronnych pełno dzikiej łaciny, w litewskich ruszczyzny; celniejsi biorąc za chlubę obcą mową mówić, już przez grzecność dla znajdujących się ustawicznie przy nich cudzoziemców, już chcą się różnić od niższych».

A przecież ten opłakany stan rzeczy ulec by rychło mógł poprawie, gdyby się z zapałem wziąć do pracy nad usunięciem z języka ojczystego wszelkich objawów zwyrodnienia i do rozumnego jego ulepszania. Chęć przekonania współczesnych, że to możliwe, była jedną z pobudek, dla których postanowił przełożyć dzieła wielkiego historyka rzymskiego na język polski. Pragnienie przyjscia językowi polskiemu z pomocą i dźwignięcia go z niedoli, jaka się jego udziałem stała, towarzyszy zresztą Naruszewiczowi, jak Krasickiemu, przez całe życie, we wszystkim, czego na polu literatury i nauki dokonał.

Zastanawiając się nad sposobami mogącymi wesprzeć odrodzenie języka polskiego w czasach Stanisława Augusta, który szczerze wysiłkom ku temu zmierzającym sprzyjał, wskazywano nieraz na dzieła znakomitych pisarzy szesnastowiecznych z Janem Kochanowskim na czele jako na ożywcze źródło. Nie uświadamiano sobie jeszcze wartości w tym względzie mowy ludowej. A jednak niektórzy z pisarzy spostrzegli, że wśród ludu znalazła schronienie polszczyzna nie skażona obcymi wpływami. Napomyka o tym Naruszewicz, wspomina Włodek. Nie umieli tylko należytych stąd wysnuć wniosków.

Najsystematyczniej, choć bynajmniej nie wyczerpująco, przedstawił obraz życia językowego Polski osiemnastowiecznej Hugo Kołłątaj (Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III: 1750– 1764). W pełnym rozumieniu tego podstawowego faktu, «że oświecenie narodowe najbardziej rozszerzyć się może przez udoskonalenie mowy ojczystej, wraca kilkakrotnie do tej myśli w toku swoich wywodów, poświęconych przeważnie rozpatrzeniu przyczyn, które zepsucie języka polskiego wywołały. Działacz społeczny i polityczny, ogarniający wzrokiem całość ówczesnej Polski i jej językowe zróżnicowanie, chciałby uczynić z języka polskiego oficjalny język państwowy przy zachowaniu wszelkich praw tym językom, jakimi w granicach dawnej Bzeczypospolitej mówiono. W jego czasach był to jeszcze jeden powód, dla którego «należało się koniecznie wrócić do języka polskiego, starać się o jego udoskonalenie i rozszerzenie, starać się o zbliżenie wielu dyjalektów i nareszcie

o wprowadzenie powszechne do szkół i nauk».

Krąg miłośników języka polskiego powoli przybiera na sile. Ze wszystkich stron coraz doniosłej rozlegają się głosy w jego obronie występujące i o jego umocnienie we wszystkich przejawach życia społecznego wołające. Przypomina więc poetom Franciszek Ksawery Dmochowski ciążyący na nich obowiązek wszechstronnego opanowania języka polskiego i roztoczenia nad nim opieki (Sztuka rymotwórcza, 1788):

A nade wszystko szanuj twą mowę ojczystą;
Nie znać języka swego hańbą
oczywistą. [...] Czytać dawne języki i obce rozumieć
Dobrze jest, lecz ojczysty
trzeba najprzód umieć.

Żąda przedstawień teatralnych w języku polskim Franciszek Jezierski, jeden z najpłomienniejszych publicystów doby sejmu czteroletniego (Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane, 1791), a przy sposobności z oburzeniem wytyka rodakom zaniedbanie własnej ojczystej mowy.

Idące w parze z powolnym zanikaniem makaronizmów dążności do zmniejszenia w języku polskim liczby wyrazów obcego pochodzenia i do zastąpienia ich wyrazami rodzimymi spowodowały kucie neologizmów czasem udanych, niekiedy nieszczęśliwych. Niektóre, np. *posiedzenie* (dotąd *sessyja*) lub *przedstawienie* (dotąd *prezentacyja*) przyjęły się powszechnie, większość odradzający się instynkt językowy osiemnastowiecznego naszego społeczeństwa odrzucił zaraz po ich urodzeniu. W tworzeniu nowych wyrazów, najczęściej potworkowatych, celował Jacek Przybylski (1756–1819), profesor starożytności klasycznych w Uniwersytecie Krakowskim, płodny i na ogół niezdatny tłumacz poetów greckich i rzymskich, a także nowszych. Wymyślone przez niego wyrazy budziły zastrzeżenia już u współczesnych. Szczególnie ostro przeciw jego nowotworom wystąpił Franciszek Ksawery Dmochowski (Zakus nad zaciekami Wszechnicy Krakowskiej, 1788), co nie przeszkodziło, że kilka z nich (np. *pomnik*, *wszechnica*) powiększyło na stałe zasoby wyrazowe języka polskiego.

Makaronizmy, wyrazy obce i niezręcznie lub zgoła źle urobione nowotwory nie były jedynymi celami, przeciw którym się kierowały ataki w drugiej połowie w. XVIII działających obrońców i miłośników ojczystej mowy. Gromili także styl nienaturalny, ilekroć się tylko po temu nadarzyła sposobność. Nie szczędzi więc cierpkich uwag miernemu pisarzowi, Andrzejowi Trzciniowskiemu (1749–1823), profesorowi fizyki eksperymentalnej w Uniwersytecie Krakowskim, Franciszek Siarczyński, współautor wspomnianej przed chwilą książeczki pt. Zakus nad zaciekami Wszechnicy Krakowskiej (1788). Poddając krytyce styl, jakim są pisane liczne mniej lub więcej oryginalne, a także tłumaczone prace Trzcinińskiego, w ten sposób charakteryzuje Siarczyński jego twórczość naukową od strony językowej: «Krytyk sprawiedliwym być powinien. Przyznać więc w tym miejscu autorowi musi, że lepiej mu się zawsze udaje być kopistą niż oryginalnym autorem, że to jest najlepszym w dziełach jego, cokolwiek z pism obcych zasiągnął, że umiał być wiernym w wykładzie cudzych postrzeżeń i uwag i że nie błądzi tam, gdzie ślepo dobrego przewodcy się trzyma. Lecz gdzie się

własnemu światłu powierza, tam się dopiero wydaje, czym jest i co zdołać może. Łatwo zatem daje się poznać, co jest cudzym, a co właściwym akademika płodem. Jego jest robotą ciemne tłumaczenie, jakie słabego i niezupełnego objęcia rzeczy bywa dowodem; jego tok, iż tak rzekę, płasko nadęty, który w nim małą sposobność i wprawę do pisania okazuje; jego język ojczysty zeszepecony cudzoziemskim krojem, który wydaje w nim tę nieumiejętność, jaka Polaka najmniej nawet mającego oświecenia wstydić powinna. Jego zdania dzikie, powiem śmiało: zdrowemu rozsądkowi przeciwne».

Z kolei ilustruje Siarczyński przykładami swoją ujemną o języku Trzciańskiego opinię, wydobywając na jaw i karcąc wszelkie jego wobec języka polskiego uchybienia.

Troska o poprawny kształt stylistyczny piśmiennictwa kazała drugorzędnemu zresztą autorowi, Michałowi Dymitrowi Krajewskiemu (1746–1817), wyśmiać manię tworzenia wyrazów złożonych, dość często u pisarzy stanisławowskich spotykaną. W powieści pt. *Podolanka* wychowana w stanie natury, życie i przypadki swoje opisująca (Warszawa 1784) wkłada on w usta jednego z występujących w niej młodych elegantów następujące zdanie sklecone z niezwykłych wyrazów wybranych z dzieł poetów i prozaików równocześnie z nim żyjących: «*Rymopisowie siebie-lubni słodkoplodnymi rymoplotami wielbią Jasnotwarze boginie. Nie jestem skrzydloruchy, abym wbiwszy się w szumnodumne wyrazy kwiatorodny uwił ci bukiet. Ale czytałem w księgapisach nowożytnych, iż ludzkolubność daje przytułek cnotorodnej wolnomyślności. Niech podłomyślni żyją księgokradytstwem, ja w zaciszku sercowędną oddając czolobitność, na spizokutym i niebotycznym ostrosłupie pamiętnika twego umieszczę*».

Usłyszawszy te słowa rozmyśla zaskoczona nimi Podolanka: «Jakimże to językiem mówił do mnie jeden? Rozumiałam, iż miał pomieszane zmysły, prawiąc mi jakieś androny». Odpowiada na to autor powieści: «Są to nowe słowa polskie, na które się teraz pospolicie sadzą piszący niekontenci z tych, które są w używaniu. *Przytułek* zdał im się lepiej brzmieć niż *przytulenie*, *krasnotwarzy* więcej znaczyć niż *urodziwy*, *ludzkolubność* mocniej wyrażać niż *ludzkość* albo *miłość ludzkości*. Zbogacenie mowy przez wynajdowanie słów takich, których nasz język nie ma, jest bardzo chwalebne, ale mnożyć nowe zamiast tych, które są w używaniu, mamy za bakalarstwo».

Atak przypuszczony przez Dmochowskiego i Siarczyńskiego na przedstawicieli uczonego krakowskiego światka z powodu językowych jego przewinień i dziwactw, drwiny Krajewskiego z literatów warszawskich i sztucznego ich słownictwa wykazują, jakie postępy poczyniła w drugiej połowie XVIII w. uprawa języka polskiego, jak wzrosła czujność w walce o wysoki pod każdym względem jego poziom i wrażliwość na wszelkie w jakimkolwiek kierunku przerosty. To już nie tak niedawna jeszcze a^T najwyższym stopniu karygodna obojętność na wszystko, co języka polskiego dotyczyło.

Nieszczęścia polityczne, jakie w drugiej połowie w. XVIII na Polskę spadały i które w rezultacie doprowadziły do wykreślenia jej z rzędu państw niepodległych,

utrudniały zwolennikom i przyjaciółom języka ojczystego działalność w jego obronie podejmowaną i ostatecznie na czas jakiś zupełnie ją zahamowały. Wysiłek ich jednak nie poszedł na marne. Rozniecili zainteresowanie dla losów języka ojczystego i wydatnie się przyczynili do podniesienia go z poniżenia, w jakie w czasach saskich popadł. Ułatwili następcom pracę nad doskonaleniem polszczyzny, przygotowując grunt pod jej rozkwit w w. XIX. Co więcej, odważnie podjętą i ofiarnie a z uporem przeprowadzoną walką w obronie języka polskiego przyczynili się do konsolidacji i umocnienia świadomości narodowej w dobie stanisławowskiej, a przez to samo do utrzymania się i ostanienia polskości w czasach niewoli. Tytuł do chwały i wdzięczności ziomków dobrze zasłużony.